

# SEWERYN MALINOWSKI.

---

Kartka z dziejów sceny polskiej  
na wschodnich kresach.

Napisał

Michał Rolle.



W KRAKOWIE,  
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.

1896.

40321

II

Osobne odbicie z „Przeglądu Polskiego“ 1896 r.



W KRAKOWIE, W Drukarni »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SP.  
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

# SEWERYN MALINOWSKI.

Kartka z dziejów sceny polskiej na wschodnich kresach.

---

Niewygasłej pamięci Tadeusz Czacki, starosta nowogrodzki, ten wyjątkowy kresowego szkolnictwa opiekun, zakładów naukowo-wychowawczych organizator — pragnął w swych uczniach wykształcić zmysł piękna, przyzwyczaić ich do kochania sztuki. Sprowadzeni do Krzemieńca i Kamieńca mistrze pendzla, mieli właśnie oddziaływać na najmłodsze pokolenia w tym kierunku. Józef Pitschman zagarnął wkrótce w sferę swej działalności Wołyń; Mateuszowi Baccellemu przypadło w udziale Podole.

Do Kamieńca zawitał on w ciągu 1807 r. i został nauczycielem rysunków przy szkole miejscowej. Zajęcia atoli szkolne nie absorbowwały mu wszystkiego czasu, maluje więc obrazy religijne i całe tuziny portretów. Ziemianie nasi nie czuli wstrętu do uwieczniania swoich podobizn dla pamięci potomnych; to też zamożniejsze — a często i uboższe — dwory i dworki podolskie i wołyńskie, a nierzadko nawet i oficyny ekonomiczne, przyozdabiały swe białe ściany portretami o sumiastych wąsach, podkreślonych zawadyacko w górę. Obok kontuszowca, fraczkowca lub w mundur wojskowy czy wreszcie obywatelski przystrojonego mężczyzny, widziałeś oblicze jego dozgonnej a zacnej towarzyszki życia: włosy przyczesane gładko, oczy rzęsami przysłonięte, to znowu cały tuzin loczków, nad czołem kunsztownie ułożonych, na usteczkach jakiś w lot przez artystę schwycony

igra półśmieszek, oczy śmiało patrzą przed siebie, ręka bawi się rąbkiem fantastycznie narzuconej chusteczki... Wszystko to są w znacznej części dzieła dwóch wzmiankowanych mistrzów pędzla, bardzo na kresach popularnych. Obok nich znajdzie się od czasu do czasu malarz zagraniczny, Moraczyński, lub wreszcie Chojnacki, lecz to tylko w zamożniejszych dworach, nazywanych często szumnie: pałacami; pod strzechę szlachecką, albo w progi sławetnych — w grosz zasobniejszych — mieszczan kamienieckich zawita częściej Horodnicki, Łomnicki, Ciszewski, Ignacy Hanicki i paru innych. Byli to portreciści różnej miary i niejednocześnie pracujący, ale też i my powyższą wstępną notatkę rozciągnęliśmy na szerokie nader ramy.

Nie samych tylko ziemian malował Baccelli. Oto przed nami wisi portret artysty, co długich lat szereg szerzył zamiłowanie do swojskiej literatury dramatycznej i narodowego języka, czyli mówiąc krótko: cywilizował kresowe głuche prowincye.

Twarz starannie wygolona, wzrok bystry, czoło wysokie, nos ostry, włosy do góry zaczesane, strój nieco fantastyczny, kołnierz głęboko wcięty, pierś lekko odsłonięta arkusz przepisanej roli w ręce — taką jest podobizna dyrektora teatru kamienieckiego, Seweryna Malinowskiego.

Biedna ta dola aktorska. Już sam ich zawód jest tego rodzaju, że żadnych namacalnych nie zostawia po sobie śladów. Budowniczego przypominają potomnym wzniesione przezeń budowle, rzeźbiarza i malarza dzieła ich dłuta lub pędzla, pisarza — mniej lub więcej liczne tomy prac jego; każdą broszurkę, każdy druk ulotny zanotuje skrzętny bibliograf, a artysta dramatyczny, choćby w swoim czasie największe porywał tłumy, choćby działalność jego istotne wydała owoce, zbyt rychło ginie w fali zapomnienia.

Ta okoliczność skłania nas właśnie do poświęcenia dłuższej wzmianki Malinowskiemu, on bowiem zasłużył na nią w całym znaczeniu słowa, a mimo to zupełnie jest dzisiejszemu pokoleniu obcy, bo też już czterdzieści pięć lat nad jego zapomnianą przemknęło mogiła.

Dyrektor sceny kamienieckiej i żytomierskiej spoczął snem wiecznym na zacisznym ementarzu kamienieckim. Do-



brze mu tam chyba. Otaczają go dokoła dawni jego znajomi, wypróbowani przyjaciele, otacza cała rzesza tych, co go niejednokrotnie podziwiali i oklaskiwali na scenie.

Na grobie Malinowskiego wzniosł jego młodszy kolega, na podstawie czworogrannej kolumnę z ciosu, umieszczając na niej następujący napis: „Sewerynowi Malinowskiemu, zmarłemu w 73 roku życia, dnia 17 maja 1850 r., artyście i dyrektorowi sceny ojczystej, Jan Piekarski, dyrektor teatru w Kamieńcu.

Drogą cierniów żywot krwawy  
Dla narodu wiodłeś zbawy,  
Cześć Ci mężu, cześć Twej pracy,  
Plon zbierają z niej rodacy.  
Imię Twoje w wielkich tłumie  
Nie promieni, biedny bracie,  
Ale każdy, co czuć umie,  
Łzy wylewa po Twej stracie.  
Mistrzu sceny! Twej pamięci  
Dłoń czciciela gład ten święci,  
Aby naród kiedyś sobie  
I o Twoim wspomniął grobie“ <sup>1)</sup>.

Komuś, nieobznajomionemu z miejscowemi stosunkami, wydać się łatwo może, że Piekarski przesadził w ocenianiu zasług swego poprzednika. Jeżeli jednak pamiętać zechcemy o tem, że Malinowski działał w epoce porozbiorowej, że namiot swój wędrowny rozbijał pod rosyjskim zaborem, w prowincyi, gdzie jeno z kazalnicy i ze sceny wolno było przemawiać po polsku, że wreszcie nie przemknął się na Zachód za przykładem innych swoich — nawet mniej uzdolnionych — kolegów, ale wytrwał, często o głodzie i chłodzie, na wyłomie, odtwarzając z młodzieńczym zapalem piękne typy w budynku, w którym w czasie deszczu zawieszać trzeba było przedstawienie — przyznać będziemy musieli nieomal zupełną rację wyrytemu na kamieniu cmentarnym wierszowi.

<sup>1)</sup> Dr. Antoni J.: *Zameczki podolskie*.

Jak już z powyżej przytoczonej daty widoczna, przyszły dyrektor scen prowincjonalnych i wcale niepośledni artysta ujrzał światło dzienne jeszcze w ubiegłym wieku (1777 r.). Do życiorysu jego posiadamy nader skromne dane, gdyż nawet Sowiński, autor notatki o Malinowskim, ogłoszonej w *Tygodniku Petersburskim* <sup>1)</sup>, ogólnikami nas zbywa. Urodził się Malinowski na Podolu, w okolicy Mohylowa; ojciec jego był oficyalistą u Szczęsnego Potockiego, siostra poślubia głównie-zarządzającego dobrami Czackich, domyslać się więc mamy prawo, że i na młodego Seweryna starosta nowogrodzki pewien dodatni wpływ wywarł, mógł go bowiem spotykać u swego pełnomocnika. Gdzie Malinowski do szkół uczęszczał? Czy Piarom, czy Bazylianom oddany był na wychowanie? i tego nie wiemy. Ludzie współcześni twierdzą, że należał do wykształconych nad zwykłą miarę, a — zdaniem Sowińskiego, za którym poszedł Estreicher <sup>2)</sup> — gruntowne poznanie tajników dramatycznej sztuki zawdzięczał Kamińskiemu <sup>3)</sup>, który w pierwszych latach bieżącego stulecia, z członkami amatorskiego teatru Wronowskiego we Lwowie, zaglądał od czasu do czasu nad Smotrycz, gdzie też znalazł najzdolniejszego swego ucznia. „Jan N. Kamiński, sam małych zdatności do okazania się korzystnie na scenie, doskonałym był jednak instruktorem. Miał zwyczaj uczyć aktorów, przypuszczając na próby każdego, kto był ciekawy, osobliwie młodzież. Między nimi upatrzył on młodzieńca Seweryna Malinowskiego i odgadnął w nim geniusz, bez którego najlepsza szkoła nie wyda mistrza. Usilnie pracował nad nabytkiem jego dla sceny polskiej. Miał do zwalczenia opiekunów odrazę od scenicznego zawodu, w ich, ba i w powszechnem wówczas mniemaniu, nieszlachetnego. Lecz mu dopomógł żywy umysł młodzieńca, chęci nauki i oklasków. Zwabiony Malinowski na scenę jako amator, w trudnej roli Franciszka Moor, z żywymi oklaskami od widzów przyjęty został. Odtąd na zawsze teatrowi się poświęcił“ <sup>4)</sup>.

<sup>1)</sup> *Kilka słów o Malinowskim*. 1840, str. 553—554.

<sup>2)</sup> *Teatra w Polsce*. Kraków, 1873. I, 99.

<sup>3)</sup> Według Dr. Antoniego J. (*Literacka drużyna*) Bogusławskiemu.

<sup>4)</sup> Sowiński: *Kilka słów* (j. w.).

Listy Malinowskiego, które przytaczamy poniżej, pisane w ostatniej epoce życia artysty, po tylu zawodach i niepowodzeniach, najlepszym są dowodem, jak wielkim musiał być u niego ten święty zapal do sztuki. Nim jednak do tych czasów z kolei dojdziemy, wypada jeszcze o owych zawiązkach kamienieckiej sceny słów kilka powiedzieć. Sowiński i Estreicher wzmiankują, że Kamiński około r. 1807 teatr nad Smotryczem założył. Naszym obowiązkiem zapisać na tem miejscu nazwisko właściwego założyciela sceny kamienieckiej, którym był szlachcic Antoni Żmijewski, późniejszy niefortunny dyrektor teatru kijowskiego.

Całą wschodnią połąć dzisiejszego placu gubernatorskiego w Kamieńcu Podolskim zajmuje długi, jednopiętrowy budynek, mieszczący w sobie bursę dla popowiczów. W ubiegłych wiekach całe to obejście było własnością unickiego kościoła; w r. 1796 odbywały się właśnie tutaj pierwsze pod nowym rządem szlacheckie wybory, z kolei domostwo świeciło pustką, z czego korzysta Antoni Żmijewski i podaje na ręce generał-gubernatora hr. Gudowicza prośbę o wynajęcie dlań wzmiankowanego domostwa na urządzenie w jego salach przedstawień teatralnych i redut. Podanie przedsięwziętego i ruchliwego szlacheica podolskiego zostało załatwionem przychylnie. W dniu 22 września 1798 r., na mocy najwyższego rozporządzenia, oddano Antoniemu Żmijewskiemu po-unickie domy w trzyletniąarendę z warunkiem, że urządzi on tutaj scenę, zapłaci czynsz trzyletni w wysokości 225 rs. i sam na własny rachunek przeprowadzi wszelkie niezbędne przeróbki i poprawki. Dla rozweselenia publiczności przedsięwzięcia teatralny urządzać będzie i reduty. Osoby na przedstawieniu obecne, mają temsamem i na nie wstęp wolny; inne wpuszczone zostaną na salę za opłatą dwóch złotych (30 kopiejek); płacą sami mężczyźni. Osoby niskiego stanu i służbę wszelkiego rodzaju, wyklucza koncesya rządowa stanowczo od udziału w omawianych zabawach <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> N. Jaworowski: *Suszczestwujuuszczija nynie zdanija Kamienieck. duchown. ucziliszcza w ich proszedziej sud'bie*. Kamieniec, 1888, str. 11.



Jak z powyższych słów widoczna, nie Kamiński, ale tylko Żmijewski był właściwie ojcem sceny polskiej w stolicy Podola. Przemawiają za tem twierdzeniem cyfry i urzędowe dokumenty, wobec których wszelkie domysły i przypuszczenia na dalszy plan usunąć się muszą. Z drugiej strony nie ulega jednak wątpliwości, że Żmijewskiemu niezbyt pomyslnie wiodło się w Kamieńcu, a gdy nadto — po upływie trzyletniego kontraktu — archirej podolski wykołatał u rządu oddanie dawnych po-unieckich gmachów na seminaryum prawosławne, dyrektor teatru, pozbawiony dachu nad głową, opuścić musiał Podole, przeniósł się do Tulczyna, potem do Kijowa, jego zaś miejsce zajął przelotnie „Galicjanin“ Kamiński.

Były to ponownie świetne zawiązki sceny kamienieckiej. Umiano poruszyć i rozczulić ziemiaństwo podolskie, które też ze swej strony teatr popierać i utrzymać postanawia. Nic dziwnego, że wobec tak dodatnich stosunków i znakomici aktorowie trzymali się Kamieńca i Kamińskiego; zdaniem ludzi współczesnych, interesujących się w wysokim stopniu literaturą i sztuką, Hankiewicz, Zbrożek, Lipnicki i Wołkowińska mogli zupełnie bezpiecznie i bez najmniejszej obawy rywalizować z uznanymi powagami warszawskimi. Dla teatru kamienieckiego pisano specjalnie sztuki, a sam jego dyrektor, Kamiński, w r. 1805 odbił w drukarni Mińkowieckiej granego tutaj *Hamleta* <sup>1)</sup>.

Zwyczajną jednak na tym świecie koleją, splata się złe z dobrem w jeden długi łańcuch bez końca. I to pewna, że liczba niepowodzeń przewyższa zwyczajnie ilość chwil świetlanych. Czyżby teatr kamieniecki miał być wyjątkiem z tej ogólnej reguły? Historia wprost przeciwny sąd wydała; obok przejściowych powodzeń przypadła mu w udziale praca niewdzięczna, niemogąca nawet zapewnić jego adeptom kawałka chleba, a cóż dopiero mówić o jakichkolwiek — choćby najskromniejszych, najniewinniejszych — zbytkach.

Żeby powstrzymać scenę od upadku, zawiązuje się w Kamieńcu „rada obywatelska,“ z okolicznych ziemian założeń złożona. Po wspólnej dłuższej naradzie pus-

<sup>1)</sup> Sowiński, j. w.



czono w obieg pewną liczbę akcyj, w wysokości 30 rs. każda, które też natychmiast rozebrano. Był zamiar zgromadzenia pokażnej nietylko na ówczesne stosunki kwoty 30.000 rs.; z nich dwie trzecie przeznaczyć postanowiono na utrzymanie teatru, powierzając kierownictwo tegoż Malinowskiemu.

W którym roku właściwie objął on teatr kamieniecki — dokładnie nie wiadomo; w przybliżeniu czas ten oznaczyć można ze słów Estreichera: „Rada czuwała nad dyrekcją teatru, którą prowadził Seweryn Malinowski, aktor z Warszawy, znany ze swoich występów r. 1818 we Lwowie.“ Wielbiciele Werowskiego — są słowa cytowanych już autorów — przyznawali Malinowskiemu wyższość w rolach Cyda, Kaima, Starego Horacyusza, Augusta i w dramatach niemieckich. Sławnie miał on wygłaszać monolog Gustawa w *Dziadach* Mickiewicza, o czym nietylko Dr. Antoni J. Sowiński i Estreicher wspominają, ale i współczesne zapisują listy i raptularze. Mimo to wszystko, nie przypadł artysta kresowy ani Lwowianom, ani Warszawiakom do gustu. Nad Wisłą zarzucała mu szkoła Osińskiego przesadę i krzykliwość. Autor *Kilku słów*<sup>1)</sup> nieco obszerniej tę wycieczkę na zachód opisuje: „Po rozejściu się kompanii Kamińskiego — czytamy w *Tygodniku* — jeździł Malinowski do Petersburga, Warszawy i Lwowa szukać wzorów; w tem ostatniem mieście miał zręczność widywać na scenie znakomitszych artystów niemieckich. Między rodakami znalazł najwznioślejsze wzory: w grze Ledochowskiej w tragediach i Żółkowskiego (ojca) w komedjach. Na teatrze warszawskim długo utrzymać się nie mógł, odpychany od ról znakomitszych, względnością na zasłużonych, chociaż miernych zdolności artystów, trzymających w dożywotnem monopolium raz obrane role. Nadto nie mógł przypaść do smaku szkole Osińskiego, w której popłacała klasyczna śpiewność średniowiek i końcówek wiersza i raz przyjęta metoda ruchów, od której odstąpić niewolno było. Niecierpliwy więzów, opuścił scenę, gdzie siły indywidualnej gry swojej rozwinąć nie mógł. Pod swoją dyrekcją założył teatr w Krzemieńcu, a potem w Kamieńcu.“

<sup>1)</sup> Sowiński, j. w.

Późniejsi autorowie ocenili bezstronnie występy Malinowskiego na scenie lwowskiej. Tak Estreicher, jak i Pełowski, kreśląc historię sceny polskiej, odzywają się o artyście kresowym w pochlebnych wyrazach. Pierwszy z nich zapisuje <sup>1)</sup>, że „jego popisowa rola, z której w całej Polsce słynął, była: Jaromir w tragedyi *Matka rodu Dobratyńskich*. Pokazał on talent deklamacyi, podnoszenia, spuszczenia i odmiany głosu stosownie do namiętności. Dobitność w uwydatnianiu wyrazów znaczących w monologach, przenoszenie końcówki do następnego wiersza bez zagubienia harmonii wierszu były dokładne. Umiał stopniować ogień i zapal od sceny do sceny, od aktu do aktu, nie tracąc naraz całego zapasu efektów. Organ głosu atoli za słaby, kształt ciała mały i szczupły, psuł nieco złudzenie, jakie sobie tworzone o bohaterze-rozbójniku. Te jednak usterki nie były rażące. Wszak Iffand szeplenił, a uznawano go za Garricka Niemiec, Kudlicz złą miał wymowę, a jednak świetnie grywał. Malinowski nieco w ruchach swoich był za szorstki, krzyżowanie rąk, pochylanie się naprzód, brak ucharakteryzowania zbyt gładkiej twarzy razily nieco. W dramacie *Podkanclerzy* nie tyle się podobał. Ukostyumowanie było nieodpowiednie.“

U Pełowskiego <sup>2)</sup> znajdujemy obszerniejsze wzmianki o obydwóch wizytach kamienieckiego artysty w stolicy Galicyi. „Z końcem kwietnia 1818 r. — pisze on — zjechał do Lwowa Seweryn Malinowski, artysta sceny polskiej w Kamieńcu Podolskim i wystąpił czterokrotnie na tutejszej scenie. Pierwszy jego występ w *Alzirze* Voltaire'a (27 kwietnia) stał się nawet przedmiotem bardziej szczegółowego, niż za zwyczaj we Lwowie, rozbioru. Malinowski grał popisową rolę Zamory i mimo niestosownego kostyumu i akcyi w niektórych miejscach zbyt gwałtownej, zrobił na publiczności bardzo dobre wrażenie.“ Wystąpił on nadto w dniach 4, 8 i 15 maja, jako margrabia w *Małżeństwie nie według stanu*, Franciszek Moor w *Zbójcach* i wreszcie Noryss w *Henryku VIII*.

<sup>1)</sup> Estreicher (j. w.). T. III, 329.

<sup>2)</sup> *Teatr polski we Lwowie*, I, 84.

Po upływie lat ośmiu przybywa Malinowski powtórnie w gościnę nad Pełtew. „Żywsze zajęcie — czytamy u Pełtowskiego <sup>1)</sup> — obudziły występy Malinowskiego w końcu maja b. r. Malinowski wystąpił tym razem jako Jaromir w *Matce rodu* i w tytułowej roli dramatu Krattera *Podkanclerzy*. Rolą Jaromira, która była popisową artysty, zyskał Malinowski, mimo braku zewnętrznych warunków (brakło mu postawy), także i we Lwowie należne uznanie; mniej pomyślnie wypadł *Podkanclerzy*.“

Tak brzmi sąd współczesnych o przyszłym dyrektorze scen prowincjonalnych. Jeżeli w istocie występy jego z podobną spotkały się nad Pełtwią oceną — to pytamy: dlaczego Malinowski tutaj nie został, ale na Wschód, na poniewierkę powrócił? Jak pogodzić tę ocenę z ogólnikowo wypowiedzianem zdaniem, że się Lwowianom nie podobał?

*Matka rodu Dobratyńskich* najpierwej ukazała się w Kamieńcu, by następnie długich lat szereg utrzymać się w repertuarze wszystkich scen polskich, i prowincjonalnych, i stołecznych. Dla wyjaśnienia powyższego faktu, przypomnieć z naszej strony konieczna, że głośną swego czasu i powszechnie znaną tragedję Grillparzera polskiej literaturze przyswoił popularny na Podolu i Wołyniu Stach z Zamiechowa, a właściwie Stanisław hr. Starzeński, i temu też przypisać należy, że pierwsi Podolacy nią się zachwycali, posiadając w dodatku w swem gronie znakomitego wykonawcę głównej roli.

Tak więc około r. 1820 obejmuje Malinowski zwierzchnictwo nad kamienieckiem towarzystwem dramatycznym i bawi tu po rok 1838, w którym przenosi swoje lary i penaty na Wołyn do Żytomierza, jego zaś miejsce zastępują na Podolu inne „truppy“, walczące stale z brakiem niezbędnej w każdym przedsiębiorstwie gotówki.

Dr. Antoni J. <sup>2)</sup> twierdzi, że Jan N. Kamiński, wygrawszy proces z prawosławnem duchowieństwem cerkwi św. Jana, które pragnęło uzyskać zamknięcie budy teatralnej, gdyż ta oddaloną była nadto mało od świątyni, walczył

<sup>1)</sup> *Ibid.* I, 124.

<sup>2)</sup> *Literacka družyna* (Serya V).



bezustannie z biedą, zaglądał do Dubna, nawet do Odessy, w końcu rzekł się dyrektorstwa na rzecz p. Moszyńskiego. Działo się to 1815 r. Miała to być dla teatru epoka najwdzięczniejsza, a mimo to nie robił on świetnych interesów, do czego chyba i gra artystów niemało się przyczyniała. Konstanty Batuszkow, chwilowy mieszkaniec Kamieńca, bardzo niepoehlebne zostawił o nim wspomnienie. „Jest i teatr, ale jaki? Kiedy deszcz pada, widzowie bez parasolów obejść się nie mogą, wiatr świszcze we wszystkich kątach i wspólnie z pijanymi aktorami, z fałszującą orkiestrą tworzą harmonię nie arcy-przyjemną. Grają tylko tragedye *dans le grand style*, rzadko opery.“ Pani Moszyńska, primadonna sceny podolskiej, rozbiła miłościnę na dwa wrogie obozy. Jedni jej nadto schlebiali, drudzy dokuczali i ganili na potęgę, a stan ten nienaturalny skłonił p. Moszyńskiego do ustąpienia miejsca Niedzielskiemu. W tym czasie zamieszkał w dawnej kresowej warowni Stach z Zamiechowa; staremu kawalerowi wpadła w oko i w serce jedna z artystek miejscowych, zbliżył się więc bardziej od innych do teatru i zainteresował się jego losem. Reżyserję sceny obejmuje właśnie Malinowski, który później — nie wiemy, jak prędko — zostaje jej właściwym dyrektorem. Na Podole przybywał on już z pewnem doświadczeniem, pierwej bowiem — między r. 1805 a 1820 — kierował sceną kijowską, objawwszy ją po bankructwie Żmiejewskiego, który — jak mówiliśmy wyżej nieco — był od r. 1798 po r. 1801 pierwszym dyrektorem sceny kamienieckiej. W r. 1821 ustąpili artyści polscy miejsca artystom rosyjskim. O Malinowskim wiemy, że mu nad Dnieprem rozmaicie się powodziło <sup>1)</sup>).

W Kamieńcu zajął się on z całą energią i z młodzieńczym zapałem teatrem sobie powierzonym. „Melodramaty z pirotechnicznymi sztuczkami usunął, naiwnie tłómacząc się przed publicznością, zamiłowaną w szarmydlach tego rodzaju, że czyni to z obawy pożaru. Pierwszy utwory Fredry grywać u nas zaczął“ <sup>2)</sup>). Nie bez pewnej racyi utrzymywano podobno, że i Starzeńskiego wpływ dodatnio pod tym wzglę-

<sup>1)</sup> Estreicher j. w. T. I.

<sup>2)</sup> Dr. Antoni J.: *Literacka drużyna*. Ser. V, 406.

dem oddziałał na Malinowskiego; doświadczył on od miłośnika sceny niemało przyjaźni i materialnego poparcia, a w dodatku dla niego to specjalnie napisał Starzeński cały szereg wesołych krotoczwil, jak np. *Mania do wierszów*, *Cykuta*, *Bumażki przecięte* i t. d. Malinowskiego Kamieńczanie lubili i szanowali. Tak w sferach mieszczańskich notablów, jak i wyższych szlachecko-urzędniczych posiadał dyrektor wiele sympatyj. O uznaniu wyjątkowem świadczyły portrety artysty, które w niejednym dworze szlacheckim spotkać można było. Czas dłuższy mieszkał on u swego przyjaciela, aptekarza Krynickiego, wraz z którym zapisani byli na liście członków loży masońskiej, posiadającej czas dłuższy swoje *locum* przy ulicy Karmelickiej, w domu, należącym ostatnich lat dwadzieścia do ś. p. Dra Antoniego J. Do tej epoki pożytecznej a żmudnej pracy Malinowskiego na kamienieckiej scenie nie posiadamy wielu szczegółów. W pamięci nielicznych niedobitków z lat tak odległych pozostały jeno rysy ogólne; wspominają oni o Jaromirze, o monologu Gustawa; przechowali w zmęczonym swym umyśle dodatnie nader wrażenie gry kresowego artysty... i na tem koniec. Może niedostępne dla nas na razie zapiski lub pamiętniki coś więcej z czasem o Malinowskim powiedzą; jak dotąd, na ogólnikach poprzestać jesteśmy zmuszeni.

Nie potrzebujemy chyba dodawać, że między r. 1820 a 1838, kiedy właśnie przypadła epoka kamienieckiej działalności naszego artysty, i inne towarzystwa dramatyczne nad Smotrycz zaglądały. I tak np. w r. 1822 i 1826 bawił tu Kamiński, w r. 1829 Lenkowski z Kijowa. Zresztą mogło to mieć miejsce właśnie wtedy, kiedy Malinowski ze swoją drużyną miasto opuszczał. Smutna konieczność nie dozwalała im stale na jednym i temsamem przemieszkować miejscu, uważając więc placówkę nad Smotryczem za stały punkt oparcia, robili ci biedacy wycieczki na jarmark czerwcowy do Jarmoliniec, gdzie właściciel miasteczka, p. Orłowski, chętnie zawsze witał wędrownych ptaków, umilających w sposób najodpowiedniejszy wieczorne godziny przybyłym ze stron wszystkich ziemianom; zaglądali na kontrakty do Dubna, zkaąd nawet aż po Kijów sięgali.

Sławne dubieńskie kontrakty już oddawna były kopalnią, jeżeli nie złota, to niechybnie srebra, a w najgorszym wypadku miedzi dla artystów polskich. Początkowo — idąc z duchem czasu — gościli u siebie księstwo Lubomirscy operę włoską; z kolei miejsce jej zastępują Bogusławski, Kamiński, a w końcu Malinowski, o czem we właściwym miejscu obszerniej nieco mówimy.

Dzisiejsze ułatwione środki komunikacyjne, pozwalające przenosić się — choćby najliczniejszym towarzystwom, wraz z garderobą, rekwizytami i dekoracyami — z jednego końca Europy w drugi, kazały nam zapomnieć o tych nieprawdopodobnych trudnościach i przeszkodach, jakie czekały biednych aktorów w ich wędrówkach po Podolu, Wołyniu i Ukrainie, w pierwszej połowie bieżącego stulecia. Olbrzymie budy żydowskie — nazywane jeszcze dzisiaj w tamtych stronach szumnem i po europejsku: dylizansami — wypełnione kosztami, pakami i kuframi, na których siedzieli, jak mogli i gdzie mogli biedni cywilizatorowie, wlokły się noga za nogą po znanych błotach podolskich, piaskach wołyńskich, lub przebiły się przez zasypy śnieżne. Sporo też trzeba było posiadać humoru i fantazyi, by po tem wszystkiem odtwarzać typy książąt i królów, opływających w dostatki panów, mniej lub więcej szczęśliwych kochanków, jowialnych totumfackich i t. p. W listach Malinowskiego, które przytaczamy poniżej, przechowały się opisy owych przeżyć ciekawych, niemniej jednak smutnych. Kreślone bezpretensjonalnie, a mimo to z pewnym humorem i dowcipem, zainteresować potrafią dzisiejszych czytelników <sup>1)</sup>.

Pierwszy z nich opatrzony został datą 8 grudnia 1838 r., pisany z Żytomierza, dokąd, jak już wiadomo, Malinowski przeniósł się ze swoją drużyną:

„Donoszę na prędko, co mogę. Naprzód, że miałem doskonałą sanna drogę do samego Ułanowa, leżącego o cztery mile od Berdyczowa; ztamtąd psuć się zaczęło tak dalece,

---

<sup>1)</sup> Listów tych jest cztery. Pierwszy i trzeci są własnością autora; pozostałe pochodzą ze zbiorów p. Władysława Górskiego na Podolu. Wszystkie pisane do regenta Sadowskiego w Kamieńcu.



że ledwo mogłem się zawlec do tego ukraińskiego Amsterdamu, lecz jak z niego wyjechać, jak po gołych piaskach dostać się do Żytomierza? Po długiej więc sesyi ze swoimi berdyczowskimi kolegami, mój furman musiał nieco drogi nałożyć i powłókł mnie na Trojanów samemi lasami; nie koniec na tem... już pod samym Żytomierzem — nie chcąc przejeżdżać rozmarznętej rzeczki Kamionki dlatego, jak się tłumaczył, aby rzeczy moich nie zamoczył — włóczył mnie jeszcze naokoło miasta po dołach, lasach, wertepach, nakoniec przeprawił się przez jakiś zamarznęty stawek i w ten sposób przeszło 7 wiorst drogi nałożył. Proszę teraz wyobrazić sobie niecierpliwość moją, widzieć miasto przed sobą oddzielone małym strumykiem, mogąc stanąć w domu łada chwilkę, a przeszło godzinę męczyć się niepotrzebną jazdą. Zmęczony podróżą, wpadłem, rozumie się, w zły humor, krzychałem na furmana, ale to nic nie pomogło, jechał swoją drogą, zatknawszy uszy na moje hałasy. Stawam wreszcie przed gankiem, wszystkie dziewczęta ze starą kwoką wybiegają naprzeciw mnie z radosną wrzawą, ale kiedy zły humor na nos mi wszędzie, niełatwo spędzić go można; huknąłem więc groźnie na mego Fiedora, aby mnie wypakował z budy, jak śledzia z beczki, bo trzeba wiedzieć, że tłumok z memi manatkami leżał mi na nogach dla ciepła. Kiedy dziewczęta usłyszały mój głos grzmiący, kiedy zobaczyły pioruny na mojem czole, wszystkie drapnęły nazad, jakby je kto wymiótł; wchodzę do mojej stancyi, znajduję ją zimną, jak lodownia, to pogarsza mój humor, pomnaża gderanie, lecz po długich dąsach i gniewach, widząc, że ciepła nie dodają, zacząłem się nieco uspokajać, rozpląciłem się z furmanem i odprawiłem go do wszystkich dyabłów; potem przetarłszy czoło, żeby trochę gładszem było, poszedłem naprzeciwko do mojej czeredki; przywitania z obu stron były szczerze i przyjazne, a komis względem całuska natychmiast wykonany został, bo nie lubię powierzającym mi interesa robić zawodu, lecz kiedy nazajutrz chciałem tęsamą operacyę powtórzyć, protestując się uroczyście, że mi codzień powtarzać ją zalecono, zostałem bardzo grzecznie, z wdzięcznym uśmiechem i delikatnem popechnięciem rączki odtrącony, a tak ukarany za korzyść, którą sobie z mojego kłamstwa obie-

cywał. Furmani z mojemu pakami wlekli się, jak żydzi do ziemi obiecanej; trzeciego dnia po ich wyprawieniu wyjechałem, a napędziłem o dziesięć mil od Żytomierza, i po moim przyjeździe dopiero trzeciego dnia stanęli, przez co wszystkie jabłka moje pomarzęły, bo długo na mrozach były, które, jak na moje udręczenie, codzień się powiększały, lecz nie mogąc furmanom procesu formować za mrozy, zapłaciłem im do grosza. Aktorowie w czasie mojej niebytności dawali widowisko, które bardzo się podobało; JW. Gubernator, marszałek Iliński i inni przyszedli do nich na teatr z oświadczeniem zadowolenia i przyrzeczeniem niezawodnych funduszy na utrzymanie tutejszej sceny, lecz obawiam się, aby to tylko nie była komedia pod nazwiskiem *Pańskie obietnice*, obszedłbym się bez niej, bo mam podobną w mojej bibliotece. To jest wszystko, co na prędce donieść mogłem...”

„P. S. Powlekła się ztąd połowa bandy polsko-ruskiej do Kamieńca wyprawiać komedye i znowu jakiego żyjącego poetę gwałtem umorzyć, a nakoniec siebie samych.”

Takiem jest brzmienie listu pierwszego. Wnioskować zeń można, że pod koniec 1838 r. Malinowski zamienia Kamieniec na Żytomierz. Nie wypędziła go na Wołyń z pośród otoczenia, w którym wielu liczył życzliwych i przyjaciół, jakaś fantazja lub zachcianka, nie było to następstwem zwykłej nawyczki do cygańskiej włóczęgi, ale smutna konieczność, najprozaiczniejsza gonitwa za kawałkiem chleba, którego już na Podolu na dobre braknąć zaczynało.

Opieka Starzeńskiego długo podtrzymywała byt sceny; wspomagał ją również gubernator Łubianowski, ale ten zbyt krótko bawił w Kamieńcu, żegnany przez artystów miejscowych kantatą, umyślnie na jego cześć przez dyrektora napisaną, a Starzeński znowu musiał wrócić na wieś, by tam interesa uregulować, w dodatku i czasy niespokojne kazały ruchliwyszemu jednostkom o innych myśleć sprawach.

Malinowski w ciągłej walce o chleb codzienny zgorzkniał; rachować się z groszem nie umiał, często go więc brakowało, a to wszystko doprowadziło go do wielkiego rozdrażnienia; miał żal do społeczeństwa, do księży, słowem do całego otoczenia. Kaznodzieja katedralny, X. Zambrzycki, też stanął do walki, wygłosił kazanie o szkodliwości teatru;

Malinowski odpowiedział satyrą, a gdy ta nie pomogła, zwrócił się ze skargami do biskupa, do metropolity, a nawet do ministra wyznań, wytaczając równocześnie owemu księdzu proces.

Cała ta bezkrwawa, mocno jednak zaogniona wojna, chleba nie dawała, długi z dniem każdym rosły, biedny dyrektor z miejsca ruszyć się nie mógł, pocziwa więc palestra urządza dla niego amatorskie przedstawienie, które przynosi 7000 zł. dochodu. Ten fundusik na chwilę zażegnał biedę. Malinowski rzeka się dyrektorstwa w Kamieńcu i rusza w świat szczęścia próbować <sup>1)</sup>.

Jak można się domyślać z listu, pan dyrektor pchnął widocznie przodem swoją gromadkę artystyczną, a sam — załatwiwszy w Kamieńcu ważniejsze interesa, pożegnawszy swoich drogich i kochanych, ugłaskawszy natarczywszych wierzycieli — wlażł na sanie żydowskie, przykrył dla ciepła nogi tłumokiem, otulił się w co mógł i jak mógł, i tak uzbrojony przeciw atakom niemiłosiernych mrozów, do Żytomierza pospieszył.

Czy pańskie obietnice nie skończyły się i tym razem na obietnicach tylko? może odpowiedzą nam następne listy Malinowskiego. Zły i skwaszony, odżył dopiero, dostawszy się między swoje bohaterki, naiwne, charakterystyczne i epizodyczne, którym przywoził od ich kamienieckich wielbicieli ukłony i nie tylko ukłony, przypuszczamy bowiem, że Imć pan Regent nie stanowił w danym wypadku unikat, że inni Podolacy obarczyli również odjeżdżającego dyrektora tak przymjerni dlań poleceniami.

Drugi list Malinowskiego, o wiele obszerniejszy, wysłany został z Żytomierza 12 maja następnego roku:

„... Zaczynam androny pisać. Mój teatr idzie jak zegar zrujnowany, a tym, co go podreperować przyrzekli, brak na chęci i funduszach, często więc staje, koła rdza powlekać zaczyna, ledwo się już ruszają. W karnawał szedł lepiej, lecz na wiosnę znowu bałamucić zaczął — w istocie benefisa aktorskie liczne i pieniężne były, ja grałem dla siebie *Piąty*

<sup>1)</sup> Dr. Antoni J.: *Literacka drużyna*, j. w.



*akt* <sup>1)</sup>, dosyć się podobał, jak na żytomierską publiczność, która wcale nie jest literacką i chętniej widzi całą litanię na afiszu, a na scenie tłok cymbałów, niż dobre dzieło w kilka dobranych osób. Nas wszystkiego czterech mężczyzn, prócz suflera, i kobiet. Mieszkamy wszyscy w jednym domu, który śmiało uważać można za dom waryatów, bo trzech moich kolegów: Łukaszewicz, Józefowicz i Pokrasa, rażeni miłości szaleem, dokazują komedye, każdy w swoim guście... Jakoś Bóg miłosierny łaską przenajświętszą zachował mnie dotąd od tej epidemii i drugiego suflera, który będąc z cicha pęk, zbiera tylko wzorki z panów romansowych, a potem doskonale ich parodjuje, z czego ja z moimi pannami śmiejemy się do rozpuku; lecz śmiech śmiechem, a w rzeczy samej niekiedy na płacz się zanosi.<sup>4</sup>

„I tak Pokrasa zaszargał się nieborak po uszy w Lucynie, lecz gdy ta obojętnie to przyjmowała, groził jej, że się otruje, pokazywał pannie nawet noszoną przy sobie flaszeczkę z jakimś płynem — zapewne z barszczem — a kiedy i to nie pomogło, przedsięwziął powoli zniszczyć siebie w nadziei, że okrutne serce zmiękczy się, a oczko leżkę uroni. Jakichże do tego używa środków? Oto stara się zamrozić. Osobliwszy pomysł, szczupak zimą zamrożony dla konserwy... bardzo dobrze, ale kochanek zamrożony, wątpię, żeby której przyszedł się na co. W czasie więc najtęższych mrozów, przeszło 20 gradusów, jakie tu z początku marca panowały, zwijał się ciągle po mieście, po trzy godzin bawił w kościele i to w jednym surduciku, wiatrem watowanym. Dopusćmy, że nie miał płaszcza, ależ miał wzór ze mnie, który po stracie mojego anim nosa nie wytknął za drzwi. Krótko mówiąc, dostaje pleury, siłą młodości walczy z nią blisko trzech niedziel, mimo srogich kolek w boku; koledzy chcą wezwać doktora, lecz nieszczęsny Werther woli umrzeć, niżli żyć niekochanym; ja, który prawie zaklejštrowany w mojej stancyi siedzę nad książkami, ani wiem, jaki pożar drugą połowę

---

<sup>1)</sup> J. Korzeniowskiego; wspomniany dramat w I akcie ukazał się w druku po raz pierwszy u Zawadzkiego w Wilnie, w dwutomowym wydaniu p. t. *Dramata i komedye mniejsze*, w r. 1845—1846, widocznie więc w Żytomierzu grany był z przepisane go egzemplarza.

domu pochłania. Wprawdzie to nie bardzo chwalebnie na gospodarza, ależ Bóg żywy! ja nie mam ochoty być gospodarzem waryatów! Niech się więc nikt nie dziwi, że ich zostawił samopas. Trwało to aż do pierwszego dnia Wielkiej noocy; zesłiliśmy się wszyscy do jednej sali dla *Chrestowani*a. Pokrasa, który dosyć był rzeźwy i wesół, raptownie chwieje się, pada, nagle bladłość twarz mu okrywa, a krew rzuca się płatami z piersi. Trwoga wszystkich ogarnia, wezwany doktor oświadcza, że chory w najniebezpieczniejszym stanie, lecz bierze się szczerze do leczenia i w kilka dni z wielką naszą radością przyprowadza go do sił, ale czy koniec na tem? oho, proszę słuchać dalej. W czasie choroby swojej ustawnie wzdychał i płakał, a taka irytacja tamowała bieg leczenia, wmówiliśmy więc w biedną dziewczynę, aby dozorowała nad nim, aby choć powierzchownością ugłaskała głupca; jakoż w istocie prawdziwą była dla niego szarytką; bandażę, kataplazmy, leki, mikstury, pigułki, wszystko to pod jej było wydziałem, lecz skoro przyszedł do zdrowia, ta nieszczęsna, prostoduszna, znudzona przybraną maską, zrzuciła ją i w dawnej pokazała się postaci. Cóż ten waryat robi? ledwo z łóżka wylazł, ledwie kra spłynęła, biegnie do rzeki kąpać się... *nb.* miał zamiar utopić się, lecz skończyło się na splukaniu, a gdy mu niedosyć gorąco było, wypija trzy butelki najcieńszego octu i dostaje daleko silniejszego krwotoku, niż pierwszy. Krzyk, hałas, trwoga, tembardziej, że chłopiec z innych względów niewymownie dobry, pracowity, pilny, użyteczny i przy szczupłym towarzystwie nieodbitie potrzebny — dalej-że więc znowu po doktora... Przybywa, pyta o przyczynę, ukrywamy, aby się nie zrażał, lecz — mimo widoczne nieukontentowanie — bierze się znowu do leczenia i przy pilnej usilności podreperował go na nowo, ale i tu nie koniec. Ledwo odchuchany powtarza dawną komedję, bierze się znowu do octu, konfiskują kontrabandę, lecz za późno, bo krew już wyrzucać zaczął. Żywo po doktora, przybiega... Chory odwraca się do ściany, gadać z nim nie chce, żadnych leków przyjmować nie myśli i tylko śmierci wzywa. Doktor zmieszany, wszyscy potrwożeni, biedna Lucyna płacze, że jest niewinną przyczyną nieszczęścia, ja hałasuję w drugim pokoju, że moim obowiązkiem gospodarskim oskar-

żyć go jako samobójcę, lub związać i do szpitala waryatów oddać — wszystko to napróżno, nadzieja stracona... już... już umiera. Niechże kto będzie mądry, zgadnie, co mu duszę na ramieniu prawie zatrzymało? Jedna rola; właśnie następowała sztuka, gdzie miał rolę, do której był zapalony i oświadczał, żeby jej nikomu za żadne nie odstąpił pieniądze. Kobiety ruszają konceptem, radzą mi, abym na przyszłą niedzielę ogłosił tę sztukę i nominował głośno kandydata do roli. Że nie było komu, na prędcę pakuj suflerowi... brawo! sztuka gotowa, gramy w niedzielę... Któżby uwierzył, chłopiec do żywego tknięty, wzywa Zielińskiej, porywa jej ręce, skrapia łzami, przeprasza, przyrzeka więcej głupstw nie robić, lekarstwa przyjmować i oznajmia, że czuje się na siłach odegrać za parę dni tę rolę. Zielińska obiecuje mu że inny grać jej nie będzie pod warunkiem, aby nadal miał więcej rozumu; przyrzekł on wprawdzie, lecz wątpię — rozum z miłością, a jeszcze tak szaloną, nigdy za pan brat nie bywa. Tak więc biedny chłopczyzna, co dla kochania chciał umrzeć, dla roli odżyć zapragnął. Pytam się teraz, która mu z nich droższa?“

„W istocie przyszedł do zdrowia, lecz mocno na siłach osłabiony, a doktor nie czyni nadziei, aby mógł dalej nad rok pociągnąć. Pokazuje się ztąd, że marzec dobry jest dla wyrobu piwa, wódek, wędlin, lecz nie dla amantów i dlatego to zwykle marcowi kawalerowie, jakkolwiek jurni na oko, w gruncie dyabła warci. Cóżkolwiekbaż — odrzuciwszy żart i romans na stronę — czy jeszcze odważysz się mierzyć ze mną w nieszczęściach?... Bo proszę, ledwo z wielką biedą pozbyłem się takich, co zalewali się wódką, licho-ż mi na dało takich, co zalewają się octem... a, tu oszaleć potrzeba.“

„W takie to wśród tutejszych borów popadłem osieki, między którymi — jak niedźwiedź ogłuszony przez cyganów — ledwo się już obracam, o czym ci, podług życzenia twego, donoszę, a jeśli odrętwienie, o którym wspominasz, nie zagłuszyło do szczytu uczuć przyjaznych, westchniesz nad przygodami memi i zawołasz wielkim głosem (ale po cichu): „O głupcze, na coś nas i Podole opuścił!“ Ze sztuk w karnawale odegranych, najlepiej do smaku przypadła pod nazwiskiem: *Dziesięć lat życia kokiety* (może kobiety?); w rze-



czy samej robi ona większe wrażenie, niż mogłem się spodziewać; w kilka dni musieliśmy ją powtarzać i teatr był, jak wprzód, licznym napełniony widzem. *Tyrolczyków* i *Dożywocia* nie graliśmy dotąd dla braku osób... Graliśmy niedawno *Episą* (?); bardzo się podobał, szczególnie Emilka i Teresia wielki tryumf odniosły.“

„Staram się przez przyjaciół o jarmark Jarmoliniecki; radbym tam być, abym uściskać mógł tych, których kocham i szacuję, lecz jeśli dziedzic pozwoli mnie tak obedrzeć, jak przeszłego roku, to mimo najgorętszych chęci, na miejscu kawęczyć wolę. JW-ny Gubernator przy pierwszym widzeniu się ze mną grzecznie się przywitał; wyrzekł, że znowu los w jedno miejsce nas sprowadza, ciągle okazuje się grzecznym dla mnie, nawet oświadczył, że przyłoży starania dla zrobienia mi abonamentu. W ogólności wszyscy są kontenci z niego.“

„W pierwszy dzień Zielonych Świąt gram na mój dochód *Andromakę*. Teatr tutejszy, jakkolwiek okazały na oko, wewnątrz szkaradnie zrujnowany, szczególnie co do dekoracyj. Nie lękam się tak bardzo ognia, bo ciągle latem i zimą woda pod teatrem stoi, co go niezmiernie ochładza, odwilża i płomieniom niedostępnym czyni; wreszcie nie mieszkam w nim, a w Kamieńcu szło mi o to najbardziej, abym sam nie zgorzał, bo jakby mi przykro było zgorzeć ogniem pospolitym, kiedy całe życie płonąć romansowym, ocalałem szczęśliwie i choć jeszcze tlą iskierki, lecz bez uszkodzenia. Ale, ale, radziłeś, że jeśli mam co względem siebie sekretne donieść, abym na osobnym karteluszkę pisał, lecz nie chcąc obciążać listu, piszę na jednym papierze. Wszak można zamilczeć to przed drugimi, lub wreszcie ten kawałek nożyczkami wystrzydz. Oto wyznam otwarcie, że nie uszedłem, jak wyżej pisałem, powszechniej w domu naszym zarazie; subretka moich panien zawróciła mi głowę i już nie żartem zacząłem brać się do niej, ale... różne okoliczności... rozum... zdrowe uwagi... a najbardziej, że... że nie mogłem ujść oczu argusowych, ze wszech stron mnie śledzących... dałem do licha pokój temu utrapieniu. Jednak proszę to mieć w głębokim sekrecie, bo człowiek nierad przy-

znawać się do niemocy... do niemocy umysłu, chyba tylko przed zaufanym przyjacielem.“

„Co do wiadomości gospodarskich, lubo najpożądańsze mogą być dla wieśniaka, ale ja, mało oswojony z niemi, donoszę tylko, że żyto na targu po zł. 10, pszenica po zł. 20, bułka chleba 15 groszy, jaka w Kamieńcu za 5, słowem wszystko prawie w trójnasób droższe, mimo to jednak wielka między Bożym ludem golizna, a szczególnie nas chwyta się ta zaraza i właśnie w tem podobieństwo ma z cholera, że mocniej uderza na tych, których kanały finansowego życia zawsze są w stanie wysuszenia. Oto są wszystkie wieści, któremi zasilić mogę ciekawość twoją; nie wiem, czy osiągnę ten skutek i gdyby na atlasie były pisane, możebyś powiedział: szkoda czasu i atlasu... Szczęście, że na papierze, może nie dobierzesz rymu“...

Zakończenie listu natury prywatnej, jako mniej ciekawe, opuszczamy. Maluje on nam w wyrazach prostych, w zwrotach i zdaniach zwyczajnych, nie ociosanych po literacku, codzienny żywot owej artystycznej gromadki, której i w Żytomierzu szczęście nie bardzo się uśmiechało. Obietnice pańskie najniechybniej zawiodły, brakło Wołyniakom „na chęci i funduszach,“ a choć oklasków i moralnego uznania nie szczędzono widocznie, nie nasycą one i nie napoją zgłodniałych i spragnionych; w dodatku i nadto szczuple gronko nie pozwalało przedstawiać sztuk, liczniejszego wymagających personalu, stanowiło tamę wprowadzaniu na scenę „stu cymbałów,“ co się prowincjonalnej publiczności zawsze tak bardzo podoba, co w jej przekonaniu świadczy o wartości trupy. Repertuar Malinowskiego, co prawda, nie bardzo wybredny, trafiał atoli do gustu wołyńskich widzów, a zresztą i inne, większe ówczesne sceny uie o wiele wyprzedzały w tym kierunku kresowych artystów.

Wzmiankowana w liście pani Eufrozyna Zielińska na obszerniejsze i cieplejsze zasługuje wspomnienie. W r. 1860 święciła ona w Kamieńcu uroczyste złote ze sceną ślubu, i w 1839 r. musiała więc należeć już do najstarszych osób personalu Malinowskiego, gdzie, zdaje się, pracowała wraz z córkami. Na ostatni, jubileuszowy występ w stolicy Podola, wybrała sobie Zielińska rolę *Pani Kasztelanowej*. „Mimo

lat sędziwych — zapisuje Estreicher <sup>1)</sup> — nie opuściły ją ani zapal, ani talent. W uznaniu tego, publiczność miejscowa i szlachta zebrana w czasie wyborów, ofiarowali jubilatce wieniec laurowy srebrny, zarazem jeden z artystów odczytał wiersz wystosowany do niej.“ Ziełińska utrzymywała teatratulacze przez lat kilkadziesiąt, przebiegając bezustannie z jednego końca południowo-zachodnich gubernij w drugi, i wieniec więc laurowy należał jej się zupełnie słusznie tak, jako zdolnej i dobrej artystce, jak również starannej i troskliwej przedsiębiorczyni, która, mimo zawodów i niepowodzeń, rąk nie opuszczała, krzewiąc, ile sił jej starczyło, zamiłowanie do ojczyznej sceny. O ile z listu, przytoczonego powyżej, domyslać się wolno, owa biedna panna Lucyna, ku której nieszczęśliwy Pokrasa tak niebywałym zapalał afektem, była właśnie córką Ziełińskiej, gdyż w przeciwnym razie dla czegożby winny miał właśnie p. Ziełińskiej przyrzekać, że głupstw więcej powtarzać nie będzie. Choć Malinowski może i słusznie nazywał swego najmłodszego towarzysza waryatem, mimo to przyzna każdy, że dziwnie pięknie przedstawia się ów zapal do sztuki, co młodziutkiego Pokrasę — nie wiemy, na jak długo — na nogi postawił.

I jeszcze jedno pytanie. Malinowski donosi w liście swoim o powodzeniu panien Emilki i Teresy. Czyżby i one miały być córkami Ziełińskiej? Że nią była ostatnia, nie można prawie wątpić po przeczytaniu końcowego ustępu następnego listu dyrektora, choć zdawało nam się przez chwilę, że mowa tu o panie Teresie Józefowiczówniej, którą w latach następnych Kamieńczanie zaliczali do bardziej utalentowanych swoich artystek.

Nadchodzący kontrakty dubieńskie. Wspominaliśmy poprzednio, że Dubno było niejednokrotnie dla kresowych artystów złotem jabłkiem; Malinowskiemu i ta nadzieja nie dopisała, o czem sam najdokładniej i najwierniej opowiada w swoim trzecim z rzędu liście, wysłanym z Żytomierza 4 marca 1840 r., zawsze do tego samego pana regenta Sądu głównego podolskiego w Kamieńcu.

<sup>1)</sup> *Teatra w Polsce*. I, 100—101.



„Chcesz wiedzieć, co się ze mną działo od wyjazdu z waszego domu w przeszłym roku. Pomijam już o podróży, o bryczce, którą dostałem w darze od moich łaskawych Podolaków. Pomijam o mojem tu powodzeniu, o pańskich obietnicach, których zawsze pełno, a skutku, jak zwykle, żadnego, bom to wszystko w tamtym liście opisał, który może jeszcze jakim przypadkiem odbierzesz kiedy; pozostaje mi tylko donieść o mojej wyprawie po złote runo do Dubna. O przyjacielu! dla kogo i na śniegu róże kwitną, dla mnie latem i zimą tylko ciernie wyrastają; deptę po nich z odwagą, póki jeszcze podeszwy całe, ale jak przyjdzie kiedy bosą nogą deptać, nie wiem, czy nie zabraknie mi odwagi. Oprócz wszystkich stawiających mi się przeciwności, nazywam jeszcze cierniami, bo tak nazwać wypada, owe czece oklaski, okrzyki, pochwały, co tylko bodząc próżność naszą, nie zapełniają próżności kieszonkowej, co, jak dym przemijając, zostawiają po sobie zamęt głowy i gryzące łzy w oczach... W istocie nadzieje nasze, trudy, starania z owym dymem uleciały, a ja i moi argonauci, jakeśmy goli wyjechali, tak goli wrócili, bo licha korzyść niewarta wspomnienia. Krótko mówiąc, wzięliśmy wogóle 912 rs., a zostało nam się korzyści ledwo 160 kilka, resztę pożarły wydatki.“

„Bierze mnie jednak chętka opisać niektóre szczegóły, dotyczące się tej podróży — nie lękam się znudzić, bo koniec końców zaśniesz, a wiem, jak chętnie ulegasz przewadze snu i pewnie go z wstrętem nie odepchniesz od siebie, czytaj więc póki nie zaśniesz, a obudziwszy się — dokończ.“

„Naprzód. Dla drogi kopnej, pełnej wybojów, wlekliśmy się pięć dni i jedną całą noc do Dubna. Ledwośmy przybyli, w parę dni lunął deszcz i przeszło tydzień lał jak z konwi, co wiele uszkodziło dochodom naszym, bo dla złej drogi szlachty prawie nie było, zjechała się tylko poblizsza magnateria, której duszę zbytek przesycenia zobojętnił na piękności samej natury, cóż dopiero na jej obrazy, sztuką wydane. Przecież raczyła odwiedzać mój teatr i zdawała się być niezmiernie zadowoloną. Na jej żądanie musiałem powtarzać niektóre sztuki Fredry i z Teatru Rozmaitości.“

„Powtóre. Dyabli wnieśli wprzód jakichś kuglarzy, co włócząc się zwykle pod imieniem aktorów, dziwne dziwa

i szkarady pod jego zasłoną wyrabiają; z tem wszystkiem p. policmajster przyznając im pierwszeństwo podług zasad prawa: „Kto pierwszy zajędzie, ten miele,” zniewolił mnie do odstąpienia im dni kilku wśród samego zjazdu, trafiając do mnie ze słabej strony:

— Czy podobna, aby p. Malinowski, o którym słyszałem, że jest szlachetnego umysłu i dobrego serca, nie miał litości nad tymi biedakami?

— Ja?... Jabym ich w błocie potopił, tam ich legowisko! Każdy biedniejszy odemnie ma prawo do mego serca, ale ci, co mój zawód upadlają, kiedy ja wszystkie siły natężam, abym go uszlachetnił... ci nie warci prócz pogrążenia ich w błocie, którym się ciągle mażą tylko, a utonąć w niem nie mogą, aby ich ślad na zawsze zaginał.

„Później przekonał się sam policmajster i żałował swojej protekcyi, ale już po niewczasie, bo i ja widowisk w te dni nie dawałem, i oni — mimo ohydneho żebractwa, z jakim natrętnie czołgali się u progów przybyłych obywateli — swój teatr zamykali; co więcej, że kiedy już bezczelnemu ich natręctwu oprzeć się niepodobna było i prawie narzucone gwałtem przez nich bilety musieli dla odczepnego brać panowie, darzyli nimi swych lokajów, stangretów, kucharzów, lecz i ci, przychodząc do naszego kasyera z temi biletami, oświadczaali, że choć mają do tamtego teatru od swoich panów bilety na pierwsze miejsce, przecież wolą być u nas na ostatniem, byle za tańszą cenę, niż zwykle. Co do brudów, jakimi ci Ich Mość nieszczęśny nasz zawód oszpecali... wzdrygam się pisać... dość, że wasi nawet kamienieccy w tej sztuce ledwo proch z ich łapciów otrząsać godni. Biada! uczciwemu człowiekowi, któremu szaleństwo młodości imię aktora narzuci, a los go zmusi włóczyć się po prowincyach i walczyć z tą trzodą kryjących się pod maską Talii oszustów. Ale kończmy.”

„Po trzecie. Jak zwykle, wleka się przedemną i za mną wszystkie przeszkody, tak i dubieńską uścieliły mi drogę; od lat kilkunastu w czasie kontraktowym nie znano tu innych zabaw prócz teatru, a w tym roku i kasyna, i pikniki obywatelskie, i wieczory muzykalne, i wołyżery, i linoskoki, wszystko to nawałem zbiegło się do Dubna, licząc w to jeszcze wieczory grom hazardownym poświęcone, gdzie — wbrew

utyskiwaniom na ogólny niedostatek, nadzieja polatania go wymawia zagorzałość marnotrawstwa... mimo jednak tych przeszkód 17 dałem widowisk, i nie można przeczyć, żeby Dubno w takim czasie nie było korzystnem dla teatru, ale trzeba szczęśliwszego odemnie.“

„Po czwarte i ostatnie. Młodość i niedoświadczenie moich dwóch parlamentarzy, których przodem wyprawilem do księcia i dla zbudowania teatru, nagromadziły mi stos niepotrzebnych wydatków. Dla rzadkości, muszę tu wprowadzić moją rozmowę z jednym z nich, który w każdym względzie wybornym jest chłopcem, ale tyle ma dziecinnego roztrzepania, że prawie w karykaturę przechodzi; z końca następnej rozmowy osądź, czy zmyślam. Naprzód. Ledwo przyjeżdżamy dobrze już w noc do Dubna, a furmani nie znając domu, gdzie nasz teatr, błądzą po ulicach; słyszę zdaleka wrzaskliwy głos: „To nasi! nasi! Tu! tu zajeżdżajcie!“ Był to głos jego, który w cichej nocy rozległ się po mieście, jak z tuby Maryny; wnet zleciała się rzesza z różnych stron ciekawych żydów, zgiełk, wrzawa, hałas... „Kikste her, kikste, a komediantes, a Żytomir, a Malinoskies!“ Znękany, złamany, stłuczony, siedząc w budzie, jak Diogenes w beczce, i śmiać się i gniewać musiałem. Zajeżdżamy nareszcie przed krążganki świątyni Melpomeny, żydowską pokrytej jarmurką; ledwo wydobyć się mogąc z mego legowiska, radhym co prędzej dowiedzieć się o głównym stanie interesów, potrzebaż i tu nieszczęścia trafić mi naprzód na niego.

— Jak się macie? co tu słyhać? czy wszystko dobrze?

— Wszystko jak najlepiej, książę nas przyjął z otwarciem rękoma, pozwolił stawić drugi teatr, przyrzekł swoją pomoc i protekę.

— A teatr już gotowy?

— Już, tylko dekoracye zawiesić, jutro grać można.

Zelgał Nro primo, bo jeszcze trzy dni przy mnie koło teatru robiono, jeszcze drzewo zwozili i ledwo nieledwo moje nieustanne gderania ukończenie przyspieszyły.

— Gdzież jest kontrakt? — zapytałem. — Chciałbym go obaczyć.

— Jest... gdzieś... w stoliku... między papierami... znajdę go później. Podpisany już przez nas i żyda.



— A w policyi zajawiony?

— Oho, jabym się nie dopilnował..

Zelgał powtórę; kontraktu ni z początku, ni później, ni na końcu w oczy nie widziałem i szczególniejsza Opatrzność Boska, że żyd w ostatku nie urosił jakiej pretensyi, wyjąwszy za stancję, którą musiał najać w innym domu dla żony i bachurów swoich.

— A nie będzie czasem jakiej przeszkody ze strony policyi i tych drabów, siedzących tu pod imieniem aktorów?

— Rzecz skończona, czynilem ich entrepreneurowi takie a takie propozycye, ale ich nie przyjął.

— I chwała Bogu, że nie przyjął, bo byłyby zabójstwem dla nas. Ale po co było wchodzić z nim w ugodne punkta? Alboż wyrobił sobie u księcia monopolium na teatr? Kiedy przeciwnie, książę pozwolił nam drugi budować.

— Ale... bo to... wyobraź sobie pan... to tak... widzisz pan... aby go odstraszyć... Policmajster sam rozgniewał się na niego i pozwolił nam codzień grywać.

Zelgał po trzecie. Ten cymbał wcale się nie odstraszył, bo nie miał czego, owszem, to uzuchwaliło w nim nadzieję, że się my jego zlekniemy, bo punkta były dla niego najkorzystniejsze, i powtórę cymbał, że ich nie przyjął, a policmajster — jak pisałem — wymógł na mnie odstąpienie dni kilku.

— Mamyż stancye porządne? Kuchnia wygodna?

— Wszystko, jak potrzeba. Pięć apartamentów obszer-nych; można będzie rozlokować się wygodnie. Jeden dla pana i na garderobę, drugi dla kobiet, trzeci na bufet, a dwa dla nas; do tego wielka kuchnia, gdzie mogą razem mieścić się nasi oficjaliści.

Zelgał po czwarte. Zamiast pięciu apartamentów, w trzech izbach, dobrze naczosnkowanych i okopciałych, mieścić się wszyscy musieli, kuchnia wielka, prawda, ale prawie na dworze, bo w stajni, jak zwykle w zajezdnym domu, tak dalece, że kucharka nie mogąc tam znieść zimna, mimo ognia, bo — choć z przodu grzało — z tyłu marzło, musiała w trzeciej izbie, gdzie aktorowie stali, na kominku jeść parzyć; niedość na tem: obok panieńskiej stancyi, w drugiej, na bufet przeznaczenej, żyd zagroził sobie komórkę, gdzie



ze swojemi antałami wódczanemi i bebechami roztasował się bez ceremonii.

— Po cóż — mówię — żyd gnieździ się w bufecie? To nieprzyzwoicie; czy ma sobie to zawarowane kontraktem?

— Właśnie... jabym na to zezwolił... dziś, jutro wyprowadzi się... prosił tylko tymczasem...

Zelgał po piąte. Żyd cały czas kadził w bufecie cebulą, wódką etc. Mocny ten aromat, cisnąc się szczelinami starej ściany do stancyi biednych moich panien, takiego ich nabawił zatkania w nosach, że ledwo oddychać mogły, a buzie aż pośniedziały. To jeszcze nie koniec. Skoro świt, zaczynał żyd swoje boruchy i do południa bębnił nad ich uszyna; z południa znowu do wieczora nucił melodyjne majufes; słowem, że te niebogi, zmęczone rolami, nie znalazły prawie chwili spokojnej, aby zasnąć mogły.

— Gdzież są dwie stancye dla was, kiedy w jednej z nich kwaterują junkry?

— O, to nic nie szkodzi. Żyd zobowiązał się ich wyprowadzić, a deputat kwaternicznej komisji NN... ah! co to za grzeczny człowiek... najdalej do jutra obiecał ich przenieść na nową kwaterę.

— Ale czy zgodzi się na to policmajster? wszak jest prezesem komisji.

— O, zgodzi się z całego serca. Deputat z nim *bruder a bruder*, inaczej nie rozmawia, jak położywszy rękę na jego ramieniu.

Mówiąc to, wsparł się na moje ramię. Myślę sobie, znać aktora, bez akeyi ani rusz.

— Jeśli junkry — rzekłem — nie wyjdą, będzie dla panów ciasnota i trudność w uczeniu się ról, jak zaczniecie wszyscy razem barabanić. Wreszcie niezdrowo, atmosfera zanadto zgęszczona..

— Ale wyjdą junkry, wyjdą niezawodnie, sami tego pragną... Nie uwierzysz pan, co to za dobre chłopcy!

Zelgał po szóste, po siódme i po ósme. Dobre chłopcy wyjść nie chcieli, mimo najmowania dla nich stancyi przez nas, bo kwatery zmienić im nie pozwolono. Ów grzeczny deputat był niegrzeczny, a policmajster mimo uszu puścił prośby nasze.

— Gdyby już prędzej dnia doczekać, niecierpliwy jestem obaczyć, jakeście teatr urządzili.

— Oho, proszę tylko obaczyć, jeszcze Dubno nie miało takiego teatru.

W tem miejscu porywa świecę ze stołu i prowadzi mnie do tej stodoły. Jakkolwiek obszerna i jedną świecą niepodobna całej oświecić, idę jednak za moim przewodnikiem i ile dojrzeć mogłem przy jednej świecy, postrzegam niekształtność, niezgrabność i zbytek niepotrzebnie użytego materiału.

— Widzę — rzekłem — tarcie mnóstwo bez potrzeby użytych.

— To nie nie szkodzi, kiedy nam dają bez pretensyi czy całe, czy popsute oddamy, wreszcie bądź pan spokojny, ja ręczyłem za drzewo moim majątkiem.

Zamknął mi gębę, ale myślę sobie: niewieleby właściciel odwetował na spłowiałym szychu i wytartych galonach. Powątpiewając zawsze o tem, co mówił, rzekłem:

— Daj Boże, aby to wszystko dobrze się skończyło.

— Bądź pan spokojny, wszyscy nam sprzyjają; policmajster sam oddał nam wizytę, oświadczał się z życzliwością, był nawet u nas na śniadaniu z deputatem i sekretarzem.

Pierwszy raz powiedział prawdę, która się nam dobrze uczuć dała na ostatku przy ogólnym obrachunku; musieli zająć solennie, bośmy solennie za to śniadanie zapłacili.

— Może i nie stracimy — odezwałem się — jeśli księżę zechce nas protegować.

— O, nietylko księżę, ale komisarz i wszyscy oficyaliści za nami. Wyobraź sobie pan, miły Polusek, czuprynka jak gołąbek, wąsiki białe...

— U księcia?

— Nie, u komisarza. Ona sama także miła staruszka, ubrana skromnie, po gospodarsku, na głowie czepek *à la Margarit*, fartuszeczek, pęk kluczków u pasa.

— Mniejsza o to, ale chciałbym wiedzieć...

— Otóż, wyobraź sobie pan, jednego tylko mają syna, on tu bywa u nas prawie codzień, strasznie nas polubił.

— Mniejsza o to, ale czy...



— Niewielkiego wzrostu, nosek trochę zadarty, bródka pociągła...

— Krótka czy długa, mniejsza o to, ale czy komisarz może wpływem swoim dopomódz nam w niektórych wypadkach u policmajstra?

— I jak jeszcze... niema o czem mówić, policmajster go bardzo szanuje, bywa u niego na śniadaniach, na obiadach... a co to za cacany staruszek.

— Policmajster?

— Nie, komisarz. Policmajster młody człowiek, ma żonę, przyjemną kobietkę, brunetkę, ręka na tęblaku...

— U żony?

— Nie, u policmajstra, krzyżów pełno.

— Gdyby tylko chciał komisarz...

— Niema o czem mówić, wszystko dla mnie uczyni, za naszym przybyciem wydał natychmiast rozkaz generalnemu leśniczemu, aby pod utratą miejsca co tchu dostarczył nam drzewa.

— A leśniczy?

— Z największą radością odebrał ten rozkaz, bo trzeba wiedzieć, że także niezmiernie grzeczny i miły staruszek. Wyobraź sobie pan, już 30 lat służy u księcia, a sam nie wygląda więcej, jak na lat 30.

— I wydał drzewo podług rozkazu?

— W mig oka wydał wszystkie. Nazywa się Egert, ale rodem Polak, fizygnomia pańska, szlachetna, ani śladu, że leśniczy. Jutro obiecał przysłać jeszcze kilkanaście fur tarcic.

— Jeszcze? a toż na co? wszak pan dopiero mówileś, że wydał wszystkie drzewo w mig oka...

— Prawie wszystkie, ale trzeba jeszcze na ścianę, oddzielić scenę od stajni, krzesła porobić, sufitu i podłogi dokończyć, kuchnię zaszałować i jeszcze gdzie nieco...

— Jakto, jeszcze tyle roboty? a pan mówileś, że teatr skończony.

— E, to fraszka, niema o czem mówić, parę godzin jutro i koniec, bo dziś szabas przeszkodził żydom dokończyć, Egert nie miał podwód, a majster nie mógł innych ro-

botników znaleźć. Wyobraź sobie pan, jak on się nosi z czerkieską.

— Kto, majster?

— Nie, Egert... bo proszę tylko zauważyć...

— Mniejsza o to, ale trzeba pilnej baczości, aby nie kradziono drzewa, wypadaloby może o jednego z dziesiętników prosić policmajstra.

— Nie odmówi, zapewniam, niema o czem mówić... Wyobraź sobie pan, żupanik po kolana, zapinany na żeberka, z wierzchu kusa mantylka, spięta pod szyją...

— U policmajstra?

— Nie, u Egerta, przytem szarawarki...

— Wreszcie nająć porządnego stróża, prócz tego trzeba do noszenia wody, opalania pieców.

— Jest stróż, tutejszy domowy, z ochotą podejmie się usługiwać i drzewa doglądać, niema o czem mówić... Wyobraź sobie pan, szarawarki obcisłe, but glansowany z wierzchu, cholewka z węgierska wycięta, kutasiki w górze...

— U stróża?

— Nie... u Egerta... otóż...

— Ale czy dajesz mu pan kwity na drzewo, które bierzesz?

— Oho, jabym się nie dopilnował... sam komisarz te kwity poświadcza, niema o czem mówić. Otóż, wyobraź sobie pan, choćby najtęższe mrozy, zawsze jednakowo, ani zna, co to futro...

— Kto, komisarz?

— Nie, Egert.

— Mniejsza o to; ale co gorsza, że jutro czeka mnie tyle subjekeyi, być u księcia, u komisarza, u policmajstra, może i u deputata, aby go ująć o kwatere dla junkrów.

— Nie trzeba u deputata; on tu sam codzień bywa i jutro pewnie przybiegnie; to wielki amator teatru, prosił tylko, żeby mu dać bilet *frej* za wyprowadzenie junkrów... Otóż, wyobraź sobie pan, rzemiennym paskiem opasany, klamra na przodzie, kołnierz od koszuli wyłożony, szpinka, żadnej chustki na szyi...

— U deputata?

— Nie, u Egerta... dodać do tego wąsy...

— Wreszcie jeśli by kwaterna komisya czyniła trudności, to z mocy kontraktu zmusić żyda do najęcia stancyi junkrom.

— To się rozumie, niema o czem mówić, krótka ceremonia z żydem... Wyobraź sobie pan, wasy zamaszyste, niżej brody obwisłe, fantazyja tęga, kańczuczek elegancki w ręku, rogatywka na głowie.

— U kogo! u żyda?

— Nie, u Egerta...

Widząc, że niema końca temu kostyumowi i niema z kim o interesie mówić, ścisnąłem ramionami i zaniechałem dalszych badań. Pokazało się na ostatku, że wszystko wietrznym sposobem robiono, że wydatków niepotrzebnych przeszło 200 rs. i że nareszcie, ocalając porękę majątku owego specyjalnego powiernika, towarzystwo musiało z własnej kasy zapłacić 22½ rs. za tarcice, których przez jego niedozór brakowało do liczby wziętych z magazynu księcia.“

„Na zupełne ukoronowanie tego dyalogu, muszę przytoczyć pewien wypadek późniejszy. Graliśmy dramę *Matyldę z Gísbach*, na piąty akt potrzebna forteca, nasz dekorator odmalował ją, ale zamiast umocowania na podstawach z dołu, dla prędkości wszystkie kawałki, z jakich się składała, pozawieszał w górze na sznurkach; w scenie, kiedy przychodzę z żołnierzami mymi dobywać tej warownej fortecy, ledwo zaczynam przemowę dla zagrzania żołnierzy, jeden żołdat niezgrabny zawadza nogą o kawał muru, a wnet wszystkie mury, bramy, baszty, jak żydowskie kołyski, hojdać się zaczęły. Małom nie zgorzał ze wstydu, odwróciłem oczy do publiczności i wybełknąwszy jeszcze kilka słów niezrozumiałych, ledwom trafić mógł za kulisy, gdzie się już oddał do woli rozpaczy mojej. Po skończeniu sztuki przychodzę do stancyi, rzucam się na krzesło i zatapiam w gorzkich myślach, że nie mam na kim polegać, ni na troskliwości ogólnej, ni na szczególnych każdego usiłowaniach, że żaden nie podziela ze mną zapału ni dla sztuki, ni dla dobrej opinii. Kiedy temi myślami gryzę się sam w sobie, ów ścisły obserwator kostyumów z impetem i wrzaskiem wpada do mnie:

— Ach! niech-no pan idzie! niech pan idzie... dopiero zobaczycie!



— Jezus! Marya! — krzyknąłem, zerwawszy się, jak oparzony — czy pali się? czy może jaką awantura?

— Ale nie, chodź-no pan na parter, publiczność już wyszła, obaczysz, jak forteca wygląda, precudnie! do zachwycenia!

Tu już mi cierpliwości brakło.

— Idź że pan do stu katów z fortecą! daj mi pokój!

— Czegoż się pan gniewa?

— Człowieku! masz-że Boga w sercu pytać mnie o to? Nie widziałeś, ile mnie to żółci kosztowało? Na toż to panowie wywlekliście mnie z Żytomierza, aby mi tu gęsi w komorze gęgały w czasie sceny? kury piałły nad głową, pies uwiązany przy ścianie, jakby namówiony, szczekał? I jeszcze, żeby mi takie fortece stroić?

— Cóż to szkodzi, że się trochę mury zahojdały? Każdy wie, że na scenie wszystko jest udaniem.

— A bodajżeś pan dyabła zjadł! To nie nie szkodzi? I pan z zimną krwią możesz to mówić? A od kogóż zawisło wprowadzić widza w złudzenie, aby zapomniał, że to jest udaniem? A na jakiegoż paralusza tyle intrygi? na co te olbrzymie przedsięwzięcia? te zamachy na zdobycie takiej ślamazarnej fortecy, której mury za potrąceniem nogą okropnie hojdać się zaczęły? I to nie nie szkodzi... a, już trzeba być wyzutym...

— Ale zmiłuj się pan... przecież wszyscy wyszli kontenci ze sztuki.

— Tak, zapewne, podług pana; może powiesz jeszcze, że wyobrażali sobie trzęsienie ziemi, albo drugie Jerycho, którego mury na sam głos trąby Izraelitów upadły? Człowieku! zastanów się, forteca niemiecka, scena w Niemczech...

— Któż tak ściśle rzeczy bierze?

— O, nikt... nikt w świecie, prócz pana... ściśle obserwować szarawary jednego leśniczego warto fatygi, a publiczność za swoje pieniądze nie miałaby obserwować niezgrabnego oszukaństwa...

— A przecież najmniejszy nawet uśmiech między publicznością słyszeć się nie dał na ten przypadek.

— Tylko też, mnie to jedno pociesza, że dobra o nas opinia zaciera nawet kuglarstwo nasze, ale nie radzę nadu-

żywać jej dobroci, owszem, przez szacunek dla niej, tembardziej sami siebie karcieć powinniśmy i poprawiać niedoręczności nasze. A pan wpadłeś do mnie z wesołą twarzą, na której ani śladu zmartwienia, coby znamionowało troskliwość jego o reputację. Kto w takim przypadku nie podziela mego zmartwienia, jest złym dla mnie kolegą i niech zawczasu wyrzeknie się zawodu, który całą duszą, całym sercem ogarnąć potrzeba, inaczej usposobi się tylko na kuglarza i oszusta, a nam tyle jedynie oszukaństwa dozwolono, ile sztuka nasza wymaga, aby pomocnym jego wpływem umysł widza w omanienie wprowadzić. To oszukaństwo zowie się złudzeniem, lecz chcąc w jego manowce patrzących wprowadzić, potrzeba naprzód aktorowi, aby się sam w owym korzystnym utopił marzeniu i mocno sobie wyobraził, że w istocie tym jest, kogo przedstawia, a nie aktorem! Lecz panowie zanedbano pamiętając o powierzchownej grze aktora, zapominacie o przejęciu się charakterem roli, przez co nieraz tak ohydnie przedrzeźnianie ludzi na scenie, że na was patrzeć nie mogę, a nawet i mnie tak zmieszacie, że jak ciebie błąkam się między wami po teatrze.

— Ale, bo pan sam nieraz gniewając się za bagatelkę, tak zbijesz nas z tropu, że nie wiemy, co z sobą robić.

— Stara piosneczka. Panowie to samochcąc dozwalacie zbijać się z tropu; napuszczając za kulisy to jakichś znajomych *fiutynków*, to znajome *marmuzele*, baraszkujeć z niemi *sanfason*, ani wam w głowie, że to wszystko obcem dla was w tej chwili być powinno, że aktor, szczerze dążący do ukształcenia swego talentu, wszelkich na tę chwilę związków ze światem rzeczywistym rzec się powinien, a przenieść się w świat, jakby na nowo dla niego stworzony, rzec się wszystkich znajomości, nieledwo od przyjaciół uciekać, bez względu na ich urazę, która przeminie — słowem rzec się wszystkiego, coby go mogło z tego zbawiennego przebudzić letargu. Dla mnie każdy obcy za kulisami w czasie reprezentacyi jest wrogiem, co na honor mój nastaje, i kiedym raz kazał tu dziesiętnikom tłok żydówek z za kulis wypędzić, nie powstałyż obrończe głosy: „Niech pan pozwoli tym dwom zostać, to ładne dziewczęta, niech się tylko pan przypatrzy... jedna pożyczyla krzesielek, a druga tam czegoś...”

O zgrozo! Możnaż w jednej chwili, i tak ważnej dla gorliwego aktora, dzielić się na dwoje? być zajętym i rolą i ładną żydóweczką? Powiedz pan sam... Mileczysz?... wybacz! póki miałem osłów wkoło siebie, często i ja w milczeniu żółć połykałem, ale od ludzi — jak panowie — powinienem czegoś lepszego oczekiwać. Dobranoc panu — rzekłem, ulżywszy sobie nieco tą gderaniną na sercu. Dobranoc, szczęśliwyś dla siebie, ale nieszczęśliwyś dla aktora, jeśli po dzisiejszym wypadku będziesz mógł zasnąć spokojnie; co do mnie, niech mi z oczu wezmą tę przekłętą fortecę, bo w kawałki ją poszarpię.“

„Przyznajże sam, nie byłoż to dzieciństwem, a prawie szaleństwem, chcieć mnie tem pocieszać, że po wyjściu publiczności forteca dobrze wygląda? Może wreszcie dla obcych sztuce dramatycznej zda się to fraszka, nawet dziwactwem z mojej strony, i obcemu chętniebym takie przebaczył mniemanie, ale nigdy aktorowi, bo na cóż mu tyle usilnej pracy, aby zdziałał wrażenie, kiedy jeden ruch niezgrabny wszystko zniszczyć zdoła? Może w istocie za ostro podobne rzeczy biorę, ale podług mnie, każdy zawód powinien być świętością dla tego, który się mu oddaje, i ztąd-to takie wypadki nie mało mi zdrowia rujnują, a żadna sztuka nie obejdzie się bez jakiegoś wypadku. I tak np. w tejsamej, że tak powiem, oplakanej *Matyldzie z Gisbach*, zaczynam scenę energiczną „kwestya“, a mówiąc o wschodzącem słońcu, obracam wzrok za kulisy, lecz zamiast słońca, postrzegam świeczkę łożową, od której już słup tleć zaczyna; rzucam na obecnych za kulisami groźne spojrzenia, nikt ani gromów, z mych oczu padających, nie widzi, ani świeczki, ani tlejącego słupa; niewiele myśląc, idę, gaszę świecę w oczach publiczności dmuchnięciem, a tlejący słup garścią, wracam na scenę z rękawem zasmolonym i zaczynam *decapo*. Piękny wstęp i przygotowanie do całej gry... nieprawdaż? Ale na co mam pisać, widzisz mnie pewnie przed sobą w żywym obrazie i śmiesz się, mruczając pod nosem: durny Seweryńciu! a może i głośno wykrzykniesz, ale choćbyś z ratuszowej wieży zawołał, już się pono z tej słabości nie ulecę.“

„Do tych wszystkich okropnych przypadków, bo przy najmniej dla mnie są takimi, dołączyć jeszcze niewczas,



niewygody, ciążenie głowy, to z przyczyny bezsennych nocy nad klepaniem ról zmarnowanych, to ciągłego swądu w tych żydowskich klatkach, przez naszego plenipotentą apartamentami nazwanych... i co jeszcze trzeba wiedzieć, że ja z jednej strony zapobiegając złemu, z drugiej sam sobie napytałem kłopotu. Na zanieśioną prośbę przeciw kurom i gęsiom, okropna rzeź z rozkazu policyi nastąpiła. Chwała Bogu. Ale cóż się dzieje; żydówki w drugiej stancyi obok mnie zawinęły się na przepadłe topić smalec gęsi, i przez szpary zamkniętych drzwi, co mnie od nich oddzielały, takiego mi kataru napędziły, że parę dni, jak pijany, głowy na ramionach udźwignąć nie mogłem, przytem ból krzyżów, który ledwie 20-tu pijawkami osłabiłem nieco... oto jest, co mi zostało w korzyści z owej dubieńskiej wyprawy, gdzie zamiast zdobycia złotego runa, ledwo z nas własnych skór nie pozdzierano.“

„Masz tedy wszystko, co dla zaspokojenia twojej ciekawości na prędce donoszę. Da Bóg, za widzeniem się ustnie opowiem, jakie okoliczności spowodowały nas do tego wyjazdu; jak pewien jegomość napisał sztukę, gdzie drugiego jegomościa w karykaturze wystawił; jak publiczność pragnęła widzieć tę sztukę, jak aktorowie pokładali na tej sztuce wszystkie nadzieje; jak jej grać nie pozwolono; jak wyprawili z nią jednego braciszka do cenzury kijowskiej; jak zdradził zaufanie całego towarzystwa, bawiąc w Kijowie przeszło pięć tygodni z podmowy pewnego Francuza, który poprzednio dał tu parę widowisk z mymi aktorami po francusku i dla tejsamej potrzeby zatrzymał go w Kijowie; ile ztąd strat wyniknęło, ile przeszkód stawilo się naszemu wyjazdowi tam i nazad; jak przyłączyły się choroby, jak pannę Teresę w Żytomierzu prawie z łóżka zanieśiono do sani. Ledwośmy stanęli u celu, córka przyszła do zdrowia, matka zachorowała śmiertelnie na kamienie żółciowe, a tu codzień grać trzeba, a w każdej sztuce ma role, a innych sztuk nie ma, tylko te, com wybrał do Dubna, odmieniać ról nie można i niepodobna w prędkości... Aj! gwałtu! zwaryować przychodziło“...

„Przecież mimo tylu kłopotów, strat, przeszkód, mimo kur, gęsi i kołyszącej się fortecy, jedno przynajmniej ocali-

łem dobro, o jakie najwięcej mi chodziło, t. j. reputację. I śmiało mogę teraz do ciebie, kochany przyjacielu, to napisać, co przed trzema wieki napisał do matki Franciszek I, król francuski, po batalii pod Pawią: „Wszystkośmy stracili, oprócz honoru.“ A jeśli przez szczerą życzliwość uczułeś moje cierpienia, to uratowane bóstwo moje, z którym uszedłem z Dubna, jak niegdyś ze swoim Eneasze z Troi, sprawi ci pociechę, jak i mnie wszystkie osładza gorycze.“

„Nasza Terenia, a pańska faworyta, olbrzymim krokiem awansuje. W tragedyi *Essex* <sup>1)</sup> tak zafrapowała umysły, że publiczność nie czekając końca sztuki, wywołała ją po czwartym akcie, a drugi raz po skończonej tragedyi.“

„Ze wszystkich sztuk Fredry *Ciotunia* podobala się najbardziej, i na żądanie powtarzałem.“

„Za każdą bytnością u księcia Jegomości, dziedzica dubieńskiego, wynosiłem krocie komplementów, lecz — mimo karnawału — bardzo były postne, nie mogłem się posilić niemi.“

„Ale dość tych gazet“...

List, chociaż przydługi, powtórzyliśmy z prawdziwą przyjemnością niemal cały, jeno zakończenie prywatnej natury opuszczając. Jest to wyznanie wiary artysty z powołania, artysty w każdym calu, charakteryzujące Malinowskiego lepiej i dokładniej od wszelkich pochwał, którebyśmy wyspiewać na jego cześć dzisiaj mogli. Dziwnie bo pięknie pojmował on swój żmudny i niewdzięczny w danych warunkach zawód, a zapal jego dla sztuki i dzisiejszym artystom za przykład godny naśladowania służyć może i powinien. Ale rzeczą znowu z drugiej strony zupełnie jest naturalną, że otoczenie jego, złożone z ludzi przeważnie młodych, inaczej na życie swoje patrzyło, do innych celów zmierzało, że temsamem swego dyrektora zrozumieć często nie było w stanie. A to uczucie osamotnienia, w połączeniu z tylu innymi zawodami, niepowodzeniami i przykrościami, wywołało z ust

---

<sup>1)</sup> Jest to utwór Dykiego, grany na lwowskiej scenie już 1797 r., a więc dobrze stary na r. 1840, podobał się jednak prowincjonalnym widzom, z tej też racji dosyć często go wznawiano.

starca skargę bolesną: „Biada uczciwemu człowiekowi, któremu szaleństwo młodości imię aktora narzuci, a los go zmusi włóczyć się po prowincyi“!

Z listu powyższego poznaliśmy również drobnostkowo ową dubieńską wyprawę po złote runo, wyprawę nieudaną materyalnie. Towarzystwo Malinowskiego, jak przypuszczać można, powiększyło się nieco, mógł więc grywać i sztuki efektowniejsze, bardziej na tłumy działające, o ile nie obniżały skali wywołanej grozy zamknięte w sąsiedztwie najbliższem kury i gęsi, jak również pies na łańcuchu uwiązany, które odzywając się w najtragiczniejszych chwilach, zamiast łez, śmiech wywoływać musiały. Oryginalne to, co prawda, były czasy, kiedy na skinienie policmajstra dubieńskiego setki tych niewinnych stworzeń głowy swe pod nóż oddać musiały. Dzisiaj i najbardziej wpływowy artysta byłby wobec zbuntowanych małomiasteczkowych gęsi zupełnie bezsilny, chybaby je wszystkie zakupił, a ta jedna ewentualność pozwoliłaby mu spokojnie wygłaszać na scenie najwspanialsze „kwestye“, w przeciwnym razie musiałby gęsiom ustąpić i pozwolić im przerywać sobie bezkarnie. Inne zwyczaje obowiązywały w Dubnie; policmajster wyrzekł słowo i cisza w sąsiedztwie *ad hoc* urządzonej sceny kontraktowej zapanała zupełna...

Z Dubna powróciło całe towarzystwo znowu do Żytomierza na zwykłe leże. Mimo usiłowań sędziwego dyrektora, by scenie prowincjonalnej znośny wywalczyć byt, nędza musiała częstokroć za kulisy teatralne zaglądać, co Malinowskiego nie tylko do sztuki, ale nawet do życia zniechęciło.

W ostatnich dniach czerwca tegoż roku zawitał sędziwy dyrektor ze swoim otoczeniem na jarmark do Jarmoliniec. I tutaj stajnia żydowska odgrywać musiała rolę sali teatralnej; na szczęście jednak letnia pora pociągała za sobą mniej kosztów i niewygód, które tak bardzo dały się artyście we znaki w Dubnie. Jarmoliniecką tę wycieczkę upamiętnił w swej cennej pracy hr. A. Przeździecki <sup>1)</sup>, a wywołała ona również w odpowiedzi notatkę Sowińskiego, ogłoszoną, jak już wiemy, w petersburskim *Tygodniku*. Au-

<sup>1)</sup> *Podole, Wołyń, Ukraina*. II, 26.



tor *Podola, Wołynia i Ukrainy*, malując barwnie ruch i gwar jarmarczny, opisując wszystkie stragany, magazyny, cukiernię „kochanego pana Antoniego“ (Dobrzyjałowskiego), wychowańca krzemienieckiego, a więc kolegę z ławy szkolnej samego właściciela miasteczka, jak również niejednego z buszujących po Jarmolińcach szlachciców, cyrki uczonych małp i psów i inne cuda, mające braciom ziemianom czas urozmaicić — wspomina z kolei i o wędrownej trupie aktorów. „W stajni urządzono teatr, na którym przybyły z Żytomierza Malinowski, komedye Fredry, lub dowcipne sztuczki podolskiego poety, Stanisława Starzeńskiego, odgrywa. Na teatrze nie mogłem długo wytrzymać; najlepsi aktorowie nie wydaliby się dobrze w stajni, cóż dopiero więcej, jak mierni! Żal mi się zrobiło autora, którego sztukę oszpecono; ża i Malinowskiego, bo zarobek lichy nie wynagrodzi mu zmarowanego talentu.“ Dla osób mniej świadomego właściwego stanu rzeczy, dodaje autor bardzo pochlebny dla dyrektora sceny kresowej odsyłacz: „Malinowski, artysta dramatyczny, rzadkich zdolności, komik wyborny, który na jarmarkach talent swój popospolituje, kiedyby mógł na scenie warszawskiej obok Żółkowskiego jaśnieć.“

Zanim wzmiankowane dzieło wyszło z pod prasy drukarskiej, ogłosił z niego wyjątki *Tygodnik Petersburski*, co przeczytawszy Sowiński, przesłał redakcyi ze swej strony *Kilka słów o Malinowskim*. Z notatki jego korzystaliśmy już na poprzednich kartach naszego pobieżnego szkicu; tutaj przytoczyć musimy jeszcze jeden wielce charakterystyczny jej ustęp; Przeździecki i Sowiński należeli do intelligencji umysłowej Podola, możemy więc w ten sposób poznać poniekąd jej sąd o Malinowskim.

„Mimo pochwały — pisze drugi o słowach pierwszego — nie jest dostatecznem, zda mi się, ocenienie tego artysty. Samo porównanie z dzisiejszym komikiem sceny warszawskiej, który jeszcze jest w drodze do dojścia głośnej a sprawiedliwie zasłużonej sławy ojca swego, wykrywa, że autor tego artykułu niedość obeznał się z zaletami Malinowskiego, widząc go raz, może dwa, na przenośnym teatrze, w sztukach mniejszego rozmiaru, jakie okazać bez dekoracyi i garderoby możność dozwalała, a to jeszcze w samych kome-

dyach; inaczej albowiem nie zapomnialby wspomnieć o *Piątym akcie* i o *Klarze* Korzeniowskiego, w Jarmolińcach odegranych; a i z tych małych próbek przyznałby Malinowskiemu talent tragika nieporównanie wyższy od tych wszystkich, jakie kiedykolwiek miała scena polska, nawet warszawska, wyłączwszy Ledochowską. Ale jeśli nasz artysta siłą gry swojej umiał nie tylko utrzymać, lecz i z niewdzięcznych sztuk wydobyć ruch i życie, pokryć oziębłość i autora i aktorów, o jakże daleko był szczęśliwszym, kiedy wolny od niemogących mu sprostać współaktorów, prawil monolog, a jeszcze tak płynny, tak ognisty, jak Gustawa! kiedy słuchaczowi kazał zapomnieć o wierszu, o autorze, o aktorze, a zachwycił go, uniósł i wraz z sobą zmusił płonąć ogniem poety! Wtenczas działał na masę słuchaczy tak przeważnie, jak smyczek Paganiniego. Taki to artysta, który gdyby się był urodził Niemcem, stolice-by go sobie wydzierały; długi czas obznajmiał publiczność kamieniecką z wyborem sztuk dramatycznych ojczystych i cudzoziemskich — wyparła go i ztamtąd inna kompania, częstując dzisiaj publiczność *Natalką, Świteziankami, Chłopem milionowym* bez muzyki i dekoracyi i t. p., a Malinowskiego, z kilku młodszymi towarzyszami lepszego wyboru, zmusiła poniewierać się po jarmarkach. Osiadł on w Żytomierzu — rzadko się pokazuje na scenie, zniechęcony na wstępie, jak mówią, naiwnem zapytaniem jakiegoś amatora teatru, który wyczytawszy na afiszu ogłoszenie komedyi Fredry, zagadnął go: „A kto tłómaczył tego Fredra?“

Notatkę powyższą skreślił Sowiński w ostatnich dniach listopada 1840 r. Maluje ona — w połączeniu z naszymi uwagami, opartemi na własnej korespondencyi Malinowskiego — smutny stan duszy kresowego artysty, wyjaśnia powody jego zniechęcenia do sceny i życia. Wszystko-bo też składało się na to, by wysoce artystyczny ten umysł zgniebić i zmiażdżyć. I włączęga po jarmarkach, i zapatrywania na sztukę młodszych kolegów, i częsty głód i chłód pracowały wspólnemi siłami nad odebraniem Malinowskiemu wszelkich złudzeń.

List ostatni, jaki mamy przed sobą, pisany przez artystę z Żytomierza w dniu 7 m... (maja, czy marca?) 1841 r.

potwierdza niestety w całej rozciągłości słowa Sowińskiego. „Zawiniłem! — donosi on przyjacielowi — wyznaję, bo ledwo na trzeci list odpisuję, powinienbym kapitał z procentem wypłacić, mam nawet obfite źródło wyczerpnienia funduszu na wypłat, lecz wybaczyć, jeśli tym razem tylko procent odbierzesz, i to w monecie lichy kurs mającej, bo nieprzybitej stępem swobodnego umysłu. Sprawiedliwieś powiedział, „że bieda nie rozwinie wesołego dowcipu.“ Chciałem jej postawić się odpornie, lecz próżno... Mimowolnie wysuwały mi się z pod pióra wyrazy, jakby powleczone krepą, myśli, jakby z czarnych włókien snute, nawet wspomnienie o przyjacielu nie mogło na chwilę rozpedzić chmur posępnych, co życie w noc mi zamieniają i najmniejszy promyk nadziei gaszą. Błąkam się w ciemnościach szukając grobu, a nie mogąc trafić do niego... Nie jest więc nic życia naszego tak wątpliwe, jak się zdaje, kiedy najostrejsze dociski przeciąć jej nie mogą... mamże ją własną ręką potargać? Nie, nie chcę być ani tak głupim, ani tak mądrym, ani zbyt odważnym, ani nadto bojaźliwym, nie chcę nawet, jak Hamlet, wahać się między wyborem zwierzęcego bytu a duchowego; skoro nas bieda wszędzie ma trzepać, wszystko jedno, czy tu, czy tam. Alem zaciągnął na ziemi święte obowiązki, z których należy się uścić, jeśli tego nie zdołam, niech mi przebaczy Ten, co mnie nimi obarczył, a odjął wszelkie sposoby do ich wypełnienia. Po włóczędztwie bezkorzystnej, po trudach, niewygodach i zgryzotach, zaczęła mnie bardziej napastować choroba; nie jest ona urojeniem, jak mniemasz, musiałbym chyba być zupełnie nieczułym, żebym łamaniu w kościach, cierpieniu stopy, boleści w krzyżach i częstemu kurczowi w nodze nie wierzył, lub za *zdaje mi się* uważał. Muszę wierzyć, bo czuję, że cierpię, a prawda dotykalna jest pono pewniejsza nad wszystkie inne prawdy; dodajże do cierpień fizycznych niengiętą zawziętość losu, żalosne wspomnienia lat próżno strwonionych, okropną przyszłość, która ukazuje mi się zdala w tem czarniejszych farbach, im bardziej wiek bieli moje włosy, a choroba w pomoc mu przybywa. Nie widzę dla siebie ratunku w zwyczajnych usiłowaniach człowieka, chyba tylko cud jaki, którego niebo zapewne nie uczyni dla mnie za tyle moich psich figlów... Och! och! Może uśmiech-



niesz się na te nowe treny i pomyślisz: *Ocknuwsia Holofernes a hołowa kudy?* Tak, zapóźno się ocknałem, głos teatralnych śyren i oklasków zadługo mnie snem morzył, na nic teraz żale i narzekania, choć z głębi zasmuczonej duszy pochodzą, lecz, bodajby śmiejąc się, weź je tylko wszystkie pod kredkę, a nie będziesz się dziwił, że radbym rozstać się z mymi socyuszami, którzy już dosyć mi ukropu za kołnierz nalali, rozstać się z tym zawodem, i nie bardzobym się wzdragał, gdyby nawet przyszło mi rozstać się ze światem; szczerze powtarzam, że wolałbym w lachmanie żebraka być pogrzebany, byle prędzej, niż w purpurze — choćby samego Cezara — jaśnieć na scenie; korona i berło już dla mnie blask swój straciły. Żart na stronę, wszystko mi obmierzło, sztuka we mnie umarła, rzemiosło tylko zostało, które jeszcze dla mizernego kawałka chleba ciągnąć, jak pług, muszę, aby w końcu z niewdzięcznej roli nędzny, gorzki i zawsze niedojrzały owoc zbierać... niedojrzały, bo słońce na horyzoncie moim ciągle zachmurzone słabo przyświeca i ogrzewa.“

„Ten, co moją biografię opisał w *Tygodniku Petersburskim*, zanadto mi pochlebił, lecz jakkolwiek mógł mi sprawić przyjemność, i do niej wmięszała się gorycz, bo tu-tejszą publiczność zagniewał na mnie, żem śmiał jej kosztem żartować względem Fredry.“

„Komedia, o której piszesz, grana przezemnie kilka razy w Kamieńcu pod tytułem: *Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada*, jest z francuskiego w jednym akcie, i gdzieś tylko ją grywał, dobrze była przyjętą. Myśl krótka, na zapelnienie jednego aktu dostateczna, lecz na trzy rozwleczona, traci zwięzłość, żywość, a w miejsce rozrywki musi sprawić ziewanie i nudy. Jeżeli wśród moich zmartwień i trosk zechcesz mnie przyjacielską odezwą pocieszyć, będzie to orzeźwieniem upadającego ducha we mnie; radbym go jeszcze choć na ramieniu zatrzymać, pokąd przynajmniej nie zobaczymy się z sobą, nie nagałamy i nie naśmiejemy z marności świata, na którym — póki wałęsam się jeszcze — nie przestanę być twoim najprzywiązanszym przyjacielem.“

Około r. 1845 wraca Malinowski do Kamieńca, jako znękany i złamany starzec, czekający jeno, kiedy to i na niego kolej przyjdzie na wieczny legnąć spoczynek. Z da-

wnej swojej kompanii mało kogo zastał nad Smotryczem; jedni powędrowali daleko na Wschód, drudzy z rozpaczny — po rozwianiu wszelkich marzeń i ułud — na własny targnęli się żywot, jeszcze innym wypadło za kratą więzienną ten świat pożegnać. I w tych i w tamtych gronie znaleźli się wychowańcy krzemienieccy, co dłuższy czas myśli swoje we wdzięczne zakuwali rymy; Krzemieńczanin również, przeznacny regent Ignacy Sadowski, przyjaciel Malinowskiego i jeden z jego kolegów w łoży wolnomularskiej, mieszkał ciągle w Kamieńcu i z pewnością pomagać musiał — o ile mógł — żyjącemu na uboczu byłemu artyście i dyrektorowi scen prowincjonalnych. Mimo to nędza nie opuszczała skromnej jego komnaty; umarł — wedle słów przez siebie niegdyś wypowiedzianych — w łachmanach, a los to niestety niejednemu z tych, którzy czas dłuższy jaśnieli na scenach, nawet stołecznych, by potem oczy zamykać w zapomnieniu, o głodzie i o chłodzie.

Moglibyśmy na powyższych słowach przerwać naszą opowieść, wypada jednak, dla zaokrąglenia całości, wspomnieć najkrócej bodaj o następcach Malinowskiego <sup>1)</sup> w Kamieńcu. Po wzmiankowanym dyrektorze gościły na Podolu „truppy“ Pilika, Wolskiej, Fedeckiego i Felińskiego, Słobodzińskiego, Zielińskiej i Piekarskiego. Wszystkie one walczyły prawie zawsze z brakiem grosza; w czasie ostatnich wypadków zamknięto teatr polski w Kamieńcu, choć już od r. 1831 obowiązani byli aktorowie, przed odegraniem sztuki polskiej, przedstawiać jednoaktówkę rosyjską, co też czynili zwyczajnie przed pustym amfiteatrem, gdyż nawet gubernatorowie zjawiali się często dopiero na sztukę polską.

Malinowski na szczęście nie dożył owej bolesnej chwili.

U schyłku istnienia narodowej sceny dzierżył nad nią władzę zwierzchniczą znany powieściopisarz Piotr Jaksa By-

---

<sup>1)</sup> *Bibliografia* zapisuje nazwisko Malinowskiego raz jeden tylko: „*Grafowie Wallbergowie*, drama w 5-iu aktach z niemieckiego na język polski przez Seweryna Malinowskiego przełożona, grana pierwszy raz na teatrze żytomirskim dnia 19 *Junii* 1809 r. i do druku podana.“ Żytomierz, 1810.

kowski; ziemiaństwo podolskie łożyło z własnych funduszków na jej utrzymanie.

W którym miejscu znajdował się pierwszy przybytek Melpomeny w Kamieńcu — wzmiankowaliśmy wyżej. I to wiadomo, że w r. 1801 budynek ten przechodzi w ręce prawosławnego duchowieństwa, w którego posiadaniu do dzisiejszej pozostaje doby. Wspomniany już szlachcic Żmijewski — czy też Kamiński, bo nie wiemy o tem z wszelką pewnością, ale prędzej pierwszy, niż drugi — skleił z kolei drewnianą budę, przytuloną do zwalisk dawnego pałacu biskupiego, łączącego się krużgankami z klasztorem i kościołem XX. Dominikanów. Tym razem znowu duchowieństwo prawosławne wystąpiło z pretensjami innej natury. Teatr był nadto mało odległy od ówczesnej prawosławnej katedry, więc też konsystorz wymagał przeniesienia przybytku sztuki w inne miejsce. Kamiński proces wygrał, a scena lat kilkanaście nie zmieniała swego *locum*; tutaj to w czasie deszczu przedstawienia zawieszać wypadało, tutaj wiatr hulał sobie swobodnie po amfiteatrze, a klatki drewniane, szumnie łozami nazywano, tutaj palestra z armią stoczyła krwawą batalię o primadonnę Moszyńską, co przed gradem pomarańcz ukryć się była zniwoloną za kulisy, gdzie przestraszona oczekiwała końca awantury, do której uśmierzenia pomocy wojska użyć musiano, tutaj wreszcie rozpoczynał swą pracę reżyserską Malinowski. Dzisiaj na miejscu owem pamiętnem wznoszą się mury olbrzymiego gmachu sądowego, przebudowanego z niedokończonego, wskutek ostatnich wypadków, „domu obywatelskiego.“

Po chwilowej tułaczce po lokalach prywatnych, urządzono teatr w dawniejszych murach obronnych, sąsiadujących z bramą, *Wietrzną* albo *Batorego* nazwaną, gdzie też do dzisiejszego dnia istnieje, otwierając swe podwoje na przyjęcie coraz to nowych towarzystw dramatycznych rosyjskich. Inni to aktorowie, odmienna również bardzo od dawniejszej rzesza widzów. Zmieniły się czasy i ludzie; jedni tylko żydzi, obsiadłszy gęsto dawnych murów szczątki, z równą ochotą oklaskują artystów rosyjskich, tak jak dawniej witali każde pojawienie się na scenie Malinowskiego i artystów polskich.

